Nr. 4.

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

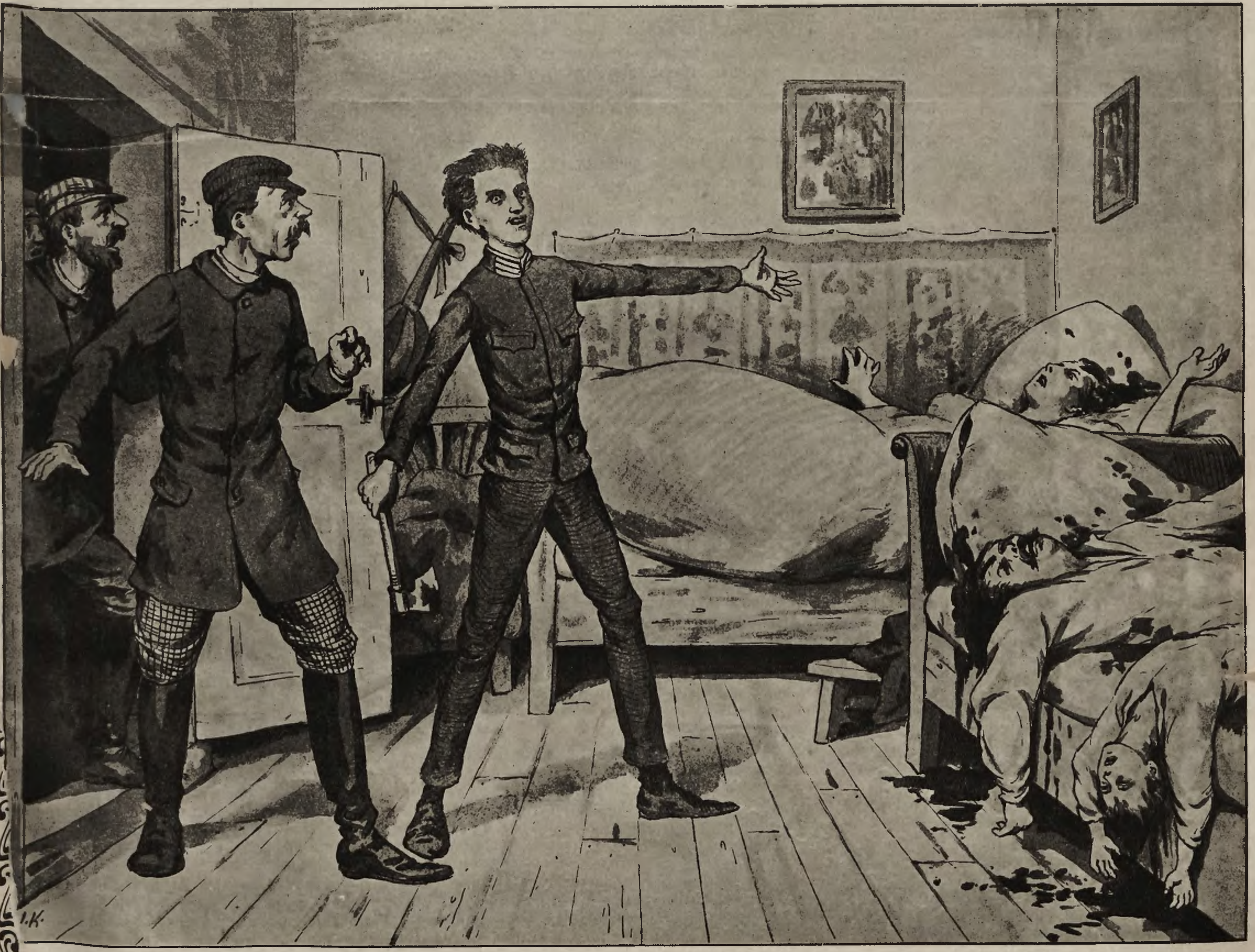
Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok I. Kraków, 22 października 1904 r. Nr. 4.

Straszne morderstwo w chwili szału.



(Do artykułu na str. 4).

Numer ten zawiera 24 stronic druku!

KWIAT NĘDZY



POWIEŚĆ.

3 (Ciąg dalszy)

— Nie! nie miałeś prawa!... Ach! wśliznąłeś się podstępnie, jak zimny płaz do wieśniaczej chaty, kędy wychowywał się mój mały... Skradłeś mi ptaszynę moją... Nie! nie miałeś prawa pozbawiać mnie szczęścia!

— Miałem... miałem — powtarzał hrabia tonem mrukliwym.

— Więc teraz, mojem prawem będzie zabić cię, jak złośliwe zwierzę... bez litości!... jeśli nie powiesz zaraz, gdzie ukryłeś moje dziecko — krzyknęła groźnie Marcelina, pochylając się nad mężem.

Wtedy Kazimierz, który przed chwilą cofnął się był o kilka kroków w tył, podbiegł do niej szybko, chwycił ją za ramię i chciał z gabinetu wyprowadzić.

Lecz ona, wyrwawszy się z rąk jego, rzekła cicho, ale stanowczo:

— Jeśli hrabia Jelski nie odpowie zaraz na moje pytanie, zaręczam, że pozbawię go mowy na zawsze... Musi mi prawdę powiedzieć!

— Nie powiem... otóż, nic nie powiem — szeptał starzec ochrypłym i trzęsącym się głosem, zdobywając się jednak w swej bezsilności na zadziwiający upór i energię. — Nikt mnie do mówienia nie zmusi... ty zaś mniej, niż ktokolwiek inny... Nienawidzę cię, pogardzam tobą... Zdradzasz mnie z Kazimierzem, równie jak ty podłym... Przyjmowałem go w moim domu jak syna... Bezczelna! ośmieliłaś się przyznać do zdrady... tu, przed chwilą. Myślałaś może, że mnie tem zabijesz, że wywołasz nowy atak apoplektyczny, który mnie u stóp twoich trupem położy... Omyliłaś się... Widzisz, mogę mówić... czuję się lepiej... znacznie lepiej... O, teraz się zemszczę nad wami... Wypędzę oboje z mego domu... Gdzie się tylko zwrócicie, nienawiść moja ścigać was będzie...

— Nikczemniku!... złodzieju!... Skarb mój ukradłeś...

— Obowiązkiem moim, jako męża, było rozdzielić cię z twoim synem... Na hrabinę Jelską nawet cień podejrzenia paść nie powinien, choćby ze względu na nazwisko, jakie z łaski mojej nosisz... Chciałem cię od potępienia uchronić... Znam nasz świat... Gdyby rzecz się wykryła, a przy twojej lekkomyślności wykryć się musiała... utraciłabyś znaczenie i stanowisko, jakie mojej żonie się należy... Więc pewnego wieczoru pojechałem na wieś, do dobrze znanej ci kolonii pod Czerniakowem... Chłopka, której swego bębna powierzyłaś, załamywała ręce i lamentowała, ale ja, nie bacząc na to, wyjąłem go z kołyski... i uwiozłem... ha, ha! uwiozłem...

— Litości!... litości! — jękła nagle Marcelina, i jakby skruszona, padła przed mężem na kolana.

On zaś uśmiechał się szyderczo. Naigrawał się widocznie z obojga, przenosząc wzrok błyszczący szatańską złośliwością z Kazimierza na nią i z niej na Kazimierza, który stał milczący i nieruchomy, nie wiedząc jak się zachować i co począć z sobą.

Hrabia powtarzał ciągle:

— Nie dowiesz się nigdy... nigdy!

Nagle opadł z sił znowu i wyczerpany, ledwie dyszący, wyciągnął się na krześle, opierając głowę na poręczy.

Oczy Marceliny, znużonej próżnem błaganiem, zapałały złowrogim wyrazem. Zerwała się z posadzki i krzyknęła:

— Chodź tu, Kazimierzu! Zmuś tego człowieka do powiedzenia, gdzie ukrył dziecko moje, a jeśli nie powie, dopomóż mi go zabić!

— Nie powiem... nie powiem... — szeptał ciągle hrabia.

Na widok zbliżającego się Kazimierza próbował powstać. Nie mógł. Silne ramiona młodzieńca łatwo powaliły osłabionego na krzesło.

— Mów!... mów! — wołali oboje.

— Nigdy!... nigdy! — odpowiadał Jelski.

Srogi szał owładnął Marceliną. Jak zraniona lwica biega po obszernym pokoju, szukając broni i nie znajduje jej nigdzie. Wtedy wraca przed męża, przytrzymywanego przez Kazimierza i woła:

— Musimy go zabić!... Jeśli pozostanie przy życiu, wypędzi nas stąd i zemści się straszliwie. Musi umrzeć!... Lecz zanim umrze, niech powie... niech powie koniecznie, co zrobił z mojem dzieckiem... Pomóż mi Kazimierzu... na miłość Boską, pomagaj!

Ale Molski, chociaż dotąd poddawał się bezwiednie wpływowi tej kobiety, cofa się teraz i twarz sobie zasłania, nie chcąc patrzeć na nią, nie chcąc jej słyszeć. Napróżno Marcelina go przywołuje, on cofa się... cofa ciągle, bo usłyszał odgłos jakichś kroków w sąsiednim pokoju; bo zdawało mu się, że zasłaniająca drzwi kotara poruszyła się nagle; bo jakby w błyskawicznie migającej wizyi dostrzegł wśród fałdów kotary dwoje czarnych oczu, na siebie zwróconych. Nie zdaje sobie sprawy, czy tak było w istocie, czy tylko omamiła go jakaś, strachem serce jego przejmująca złuda. Może zmysły utracił. Może padł ofiarą okropnej jakiejś halucynacyi?! Obu rękami oczy przeciera... i nic nie widzi... nic... nic więcej...

— Ach, i ty mnie opuszczasz! — woła hrabina nieprzytomna, rozdenerwowana, szalejąca. — Uciekasz!... Czy chcesz mnie pozostawić samą na łasce i niełasce tego nikczemnika, który naigrawa się ze mnie, który mi urąga...

Spostrzega niespodzianie, opasujący wiotką kibić sznur z białego jedwabiu. Krzyk zwierzęcej jakiej radości wyrywa się z jej gardła.

— Weź ten sznur Kazimierzu... i pomóż mi... błagam cię... Pomścij mnie!

Lecz Molski, jakby skamieniały z trwogi, nie odpowiada natychmiast. Automatycznym ruchem ręki wskazuje jej kotarę, oddzielającą gabinet od sąsiedniego pokoju. Potem, drżący cały, zbliża się do hrabiny i szepce jej do ucha:

— Ostrożnie! Bądź ostrożna... tam jest ktoś... tam... tam!

Marcelina gestu jego nie widzi i szeptu nie słyszy. Rzuca się jak tygrysica na zdrętwiałego ze strachu i osłabienia męża... Oczy, pełne srogiej nienawiści, topi w jego oczach... On zacharczał nagle, jakby zdławiony... Podnosi ręce w górę... Broni się ostatkiem sił... Marcelina sznurem owinęła mu szyję... i ściska... i ściska...

Cisza zaległa komnatę...

Wśród tej okropnej ciszy, hrabina, pochylona nad Jelskim, szepce mu do ucha:

— Mów!... mów!... jeśli powiesz, wrócę ci życie!

Nagle krzyknęła.

— Kazimierzu! przetnij sznur, bo widok tego człowieka mnie przeraża... Niech odetchnie! Nie chcę jego śmierci... nie chcę, nie chcę!... Kazimierzu! oszalałam... Patrz!... Ależ na miłość Boską, spojrzyj!... On się nie porusza... nie oddycha...

— Umarł! — rzekł po cichu Molski.

Ona zachwiała się i padła zemdlona w jego objęcia.

Po chwilowym rozstroju, dziwny jakiś i zarazem straszny spokój napełnia serce Kazimierza. Przenosi omdlałą do buduaru i składa ją na sofie. Potem wbiega do gabinetu; chwyta sznur, zwieszający się z szyi hrabiego — i powraca przed sofę, na której jego ukochana leży jak trup blada.

III.

Starożytny zegar, stojący na renesansowej, złoconej konsoli, bije godzinę szóstą.

Z ogrodu, przez otwarte okna, wpływa do wykwintnie umeblowanego buduaru powiew jesiennego, pogodnego wieczoru.

W pałacyku panuje zupełna cisza.

Służba rozpierzchła się po dalszych pokojach i suterenach, tylko marszałek dworu kręci się po obszernej sali jadalnej. Zapalił lampę. — Światło ich łamie się w kryształach i saskiej porcelanie, ustawionej na stole, pokrytym białym, holenderskim obrusem.

W buduarze, Kazimierz, pochylony nad Marceliną, przeżywa powtórnie dramat, który przed kwadransem rozegrał się w gabinecie hrabiego Jelskiego.

Nagle, przychodzi mu myśl zerwać się z miejsca i uciekać, lecz po chwili zastanowienia, odpycha ją z pogardą. Uciec teraz, byłoby tchórzostwem nie do darowania i podłością bez granic. Przecież kobietę, którą kocha, w tak strasznej chwili opuścić nie może, zwłaszcza, że był poniekąd wspólnikiem jej zbrodni. Kryje więc lica w dłonie i zamyśla się. W głowie, rozpalonej gorączką, rodzi się pytanie: jaką rolę odgrywać będzie w domu, do którego wszedł wesół, pogodny, bez troski, jak przyjaciel pana i pani, a teraz wyjdzie, unosząc w duszy lęk i niepokój... może nawet wyrzuty sumienia, ile razy przypomni sobie, co się tutaj działo, a czego dokonać pozwolił.

Czuje straszny ból głowy. Sznurem, który dotąd trzymał w ręku, bezwiednie opasuje kibić kochanki.

— Marcelo moja! — szepcze.

Klęka przy niej na dywanie, patrzy na nią, z mimowolnym zachwytem i usta swoje do jej ust przyciska.

— Marcelo moja! — powtarza.

Ona, ciągle jeszcze zemdlona, nie odpowiada. Kazimierz pogrąża się w rozkosznem marzeniu... Zapomina o wszystkiem... Ona taka urocza, taka piękna... tak go kocha...

Nagle, hrabina budzi się z omdlenia. Podnosi się i spogląda na niego pełnym miłości wzrokiem.

— O mój Kazimierzu!

I ona nic sobie nie przypomina. Ręce, zimne jak lód, przesuwa po pałającem czole. Wtem pewna część dramatu odbija się w jej pamięci, jak w źwierciadle.

— Ach, byłeś przy mnie, mój drogi! — mówi złamanym od wzruszenia głosem. — Teraz znasz moją przeszłość... Dowiedziałeś się o moim wstydzie, tak uparcie przed tobą ukrywanym... Musiałam wyznać ci bolesną tajemnicę... Wyspowiadałam się nareszcie z przyczyny łez moich i rozpaczy.

— Słuchaj! — rzekł z szczerą czułością młodzieniec, biorąc śliczną jej rękę w swoje dłonie. Czy nie przypominasz sobie, jakie okropne nieszczęście dom twój nawiedziło?

— O!.... ooo, tak! przypominam sobie. Chciałam udusić mego męża... lecz on mi się z rąk wyśliznął. Wszakże tam byłeś? Widziałeś!... Wszakże nie pozwoliłeś mi spełnić zbrodni?

— On umarł... Czy rozumiesz? umarł. Ciało jego zmroziło już śmierci tchnienie.

— Umarł! umarł!... Czy to ja go zamordowałam?

— Jestem twoim wspólnikiem — rzekł Kazimierz smutnym głosem. — Powinienem był przeszkodzić... stanąć między nim a tobą, a nie uczyniłem tego. Wina moja równą jest twojej...

— Więc będziemy sądzeni i karani razem — wyszeptała Marcelina drżącym głosem, zaciskając zęby.

Wargi jej, przed chwilą purpurowane, powlekła trupia bladość.

— Nie chcę, aby nas sądzono... oboje bylibyśmy zgubieni. Nazwisko moje było dotąd nieskalane. Plama na nie paść nie może, bo rodzina wyparłaby się mnie...

Nie domówił myśli swojej, bo podwoje od jadalni rozwarły się na roścież z trzaskiem i ukazał się w nich marszałek dworu z serwetą w ręku.

— Pani hrabino — rzekł — już waza na stole.

Kazimierz, wysiłkiem woli zapanował nad sobą i umilkł. Powstał z miejsca, podając Marcelinie rękę, aby ją poprowadzić do jadalnego pokoju. Ona oparła się ciężko na jego ramieniu, pytając równocześnie marszałka falującym od wzruszenia głosem:

— Czy zawiadomiliście mego męża, że obiad podany?

— Byłem w pokojach pana hrabiego na pierwszem piętrze, ale nikogo nie zastałem...

— Prawdopodobnie zeszedł do swojej pracowni. Może przyjmował w niej kogo obcego...

— Tak, pani hrabino. Murzyn, Selim, przed godziną wprowadził jakiegoś młodego człowieka do gabinetu pana hrabiego.

— Niechże Selim pójdzie teraz poprosić pana na obiad. Tym sposobem mąż mój uwolni się od zbyt długo bawiącego gościa.

— Gość, którego wprowadziłem — rzekł murzyn, który w tej chwili wszedł do jadalni, niosąc piękny kosz porcelanowy, napełniony przepysznymi owocami — już dawno się oddalił. Wybiegł na ulicę, jak szalony, bez kapelusza na głowie. Widział go szwajcar, który bramę otwierał.

Myśl, szybka jak błyskawica, przemknęła przez mózg Kazimierza: „O mój Boże! na tego młodego człowieka, jeśli go poznają, spadnie podejrzenie i cała odpowiedzialność. Nic od kary uchronić go nie zdoła!“

W tejże chwili to samo pomyślała Marcelina. Nie śmiejąc badać dłużej Selima, wyczerpana, przygnębiona, otarła zimny pot, perlący się na jej czole, i upadła na jedno z krzeseł, stojących przy nakrytym stole. Kazimierz, równie jak ona blady, zwrócił na nią pełne strachu oczy.

Murzyn, który ciągle jeszcze trzymał w rękach kosz z owocami, stał wyprostowany, nieruchomy, topiąc bystry, błyszczący wzrok w twarzy swojej pani i pięknego młodzieńca, zmarszczył brwi a grube jego wargi poruszyło jakieś febryczne drżenie. Odwrócił się nagle, jakby dla ukrycia zmieszania, postawił kosz na stole i rzekł z pozornym spokojem:

— Pójdę powiedzieć panu hrabiemu, że obiad już podany i że pani hrabina czeka.

Wyszedł.

Upłynęło kilka minut, które Marcelinie i Kazimierzowi wydały się wiekiem.

Nagle rozległ się krzyk przera...y:

— Pan umarł!... pan nie żyje!

Murzyn wpadł do jadalnego po..., a oczy jego błyszczały, jak ... rozżarzone węgle. Gdyby w tej ...wili ktoś mu się bacznie przyjrzał, spostrzegłby niezawodnie, że panuje nad sobą i coś w głębi duszy ukrywa.

Marcelina zerwała się z siedzenia i wraz z Kazimierzem i służbą — która na krzyk Selima zbiegła się cała — rzuciła się ku drzwiom, wiodącym do gabinetu męża.

— Pan nie żyje;... pan umarł! — powtarzał murzyn żałośnie.

— Piorunujący udar apopleksyi zabić go musiał — rzekł Molski.

— Nie, nie!... zamordowany, uduszony — mó...ł Selim, pochylając się nad trupem. — Niech ...n spojrzy na szyję... widać na niej wyraźne ...dy uduszenia...

Poczem podał ponurym głosem:

— Prawdopodobnie udusił go ten człowiek, którego tu wprowadziłem.

— Ach, nikczemny! — zawołała Marcelina, odzyskując zimną krew i pewność siebie.

Zdawało się jej, że podejrzenie, zwracające się w inną stronę, broni ją i ocala.

— Lecz kto to być może?... Pewno nikt go nie zna.

— O, nie trudno będzie mordercę odszukać — powiedział Selim — pozostawił przecie kapelusz. Proszę pani hrabiny, oto jest.

Kazimierz wziął jak bezduszny automat kapelusz do ręki i zajrzał w jego wnętrze. Inicyały M. Ż., wyciśnięte na jasnej podszewce, czerniły się na niej wyraźnie.

— To pierwsze litery jego imienia i nazwiska rzekł murzyn.

— Co jeszcze nie dowodzi, że ten człowiek właśnie zamordował hrabiego — odparł Molski.

— Któż zatem? — zapytał Selim, zwracając swe iskrzące oczy na młodego adwokata. Któżby inny, proszę pana mecenasa, jeśli nie człowiek, który tu wdarł się nieledwie przebojem?

— Masz słuszność — mruknął niecierpliwie Kazimierz.

Nie mógł zwalczyć rozdrażnienia, jakie nim miotało wewnętrznie. Czuł przytem, że jeśli zaraz nie wyjdzie, osłabienie weźmie górę nad siłą woli i gotów będzie się wygadać.

Wszyscy, zgromadzeni w gabinecie Jelskiego, zgodzili się, że zbrodnia spełnioną być musiała przez tego, który zbiegł, pozostawiając w pokoju kapelusz. Przyłączyła się do ich mniemania i hrabina, zapominając już widocznie, jak ohydną odegrała w dramacie rolę. Jeden tylko Molski, nie



chciał uznać faktu za stwierdzony i pomimo próśb Marceliny, błagającej go, by pozostał jeszcze czas jakiś, pożegnał się z nią i chmurny wybiegł spiesznie na ulicę.

. . . .

Niebo pokryło się kirem żałobnym. Ani jedna gwiazda na nim nie jaśniała. Drobny, gęsty deszcz jesienny padał rzęsiście, pokrywając chodniki Nowego Świata i Krakowskiego Przedmieścia ślizgą wilgocią. Kazimierz szedł przed siebie — bez celu. Za zgubionego się uważał. Zdawało mu się, że jest pochwycony przez jakieś ogromne koło zębate, wirujące z nim razem niesłychanym pędem, a nie dające się zatrzymać w obrocie. Pojmował, że wezwana przez przerażoną służbę policya już rozpoczyna poszukiwania. Wiedział również, że zbrodnia znaną będzie nazajutrz całej Warszawie, że stanie się przedmiotem rozmów wszystkich wyższych i niższych sfer towarzyskich w mieście. Nazwisko jego powtarzać będą wszyscy znajomi, bo K u r y e r y i inne dzienniki ogłoszą: że w chwili spełnienia mordu młody adwokat znajdował się w pałacu Jelskich, a złośliwość ludzka i plotka snuć będą z tego motka tysiące złośliwych uwag i domysłów. Co wreszcie stanie się z Marceliną? Czy wytrwa w przybranej roli do końca? Czy może zgnębiona wyrzutami sumienia, przyzna się głośno do wstrętnego czynu? Głęboki smutek ścisnął mu serce. Torturujące myśli doprowadzały go niemal do szaleństwa. Wszakże pozwolił, by dokonała zbrodni w jego obecności. Wszakże nie powstrzymał rąk, dławiących hrabiego, bo ręce te należały do kobiety, którą ubóstwia. Tak, czuje, że ją kocha pomimo wszystkiego, co się stało... pomimo wyznania, jakie w rozdrażnieniu z ust jej się wyrwało... a miłość ta uczyniła go współwinnym w morderstwie. Obecnie przykuty jest do niej na całe życie. Łańcucha, który go z nią związał, nie zerwie nigdy za nic w świecie!

Z Krakowskiego-Przedmieścia zeszedł koło zamku na zjazd, i wkrótce potem znalazł się na żelaznym moście.

Pomimo ciemności i szarugi dostrzegł o kilka kroków przed sobą człowieka, opartego na poręczy i patrzącego na Wisłę.

Nagle przyszła mu myśl do głowy, że stojący tam nieznajomy jest nieprawym synem hrabiego Jelskiego, Marcinem Żarskim, który tu przyszedł w celu spełnienia samobójstwa.

Kryjąc się za szerokie kraty mostu, zbliżył się do człowieka, pochylonego nad szumiącą rzeką, z oczami bezmyślnie w nią utkwionemi.

Nie pomylił się — był to istotnie Żarski.

Kazimierz znał go oddawna.

Marcin, jeszcze jako były asystent dra Stanisława w szpitalu Dzieciątka-Jezus, zastępował słynnego profesora w praktyce czas pewien, w ciągu wakacyi. Wtedy, wezwał go młody adwokat do swojej siostry, Eugenii, chorej na tyfus. Lekarz, z poświęceniem bez granic, spędzał dnie i noce przy łóżku cierpiącej, otaczając ją najgorliwszemi staraniami. Lecz, gdy wreszcie wyrwał ją z objęć śmierci, gdy panienka przychodzić zaczęła do zdrowia, Dr. Stanisław powrócił ze wsi, a Marcin — z wielkim żalem Geńci — nie pokazał się już więcej w należącym do jej ojca domu, przy Długiej, który niby oficyna, oddzielona od ulicy głębokiem podwórzem, ukrywał się w pośród ogrodu.

Kazimierz, przerażony niespodzianem spotkaniem, chciał, nie zatrzymując się, przejść niespostrzeżony koło Żarskiego, lecz ten poznał go i pochwycił za ramię.

— Zlituj się pan — rzekł drżącym głosem, z pewnym rodzajem obłędu, malującego się w oczach — odprowadź mnie z łaski swojej na Chmielną. Zahipnotyzowany widokiem bieżącej wody, czuję, że mnie jak otchłań ku sobie pociąga, a umrzeć nie chcę... nie mogę. Mam dzieci, ślepą matkę i żonę, umierającą na suchoty... Wszystkim im jestem potrzebny, chociaż życie wydaje mi się strasznym ciężarem. Mówię tak szczerze, bo wiem, że mam przyjemność znać pana... leczyłem niegdyś siostrę pańską...

— Tak — odpowiedział Molski, równie blady i drżący jak Marcin — ocaliłeś ją od nieuchronnej śmierci przed dziesięciu laty, gdy byłeś asystentem w szpitalu Dzieciątka-Jezus i zastępowałeś chwilowo Dra Stanisława...

Poczem dodał z wielką słodyczą:

— Teraz praktykujesz pan samodzielnie... i ożeniłeś się?

— Tak panie... jestem ojcem dwóch ślicznych dziewczynek... Bliźnięta... ale — jęknął boleśnie — żona moja umiera...

Urwał nagle, jakby zawstydzony mimowolnem przyznaniem się do smutku i rozpaczy.

Oparty na ramieniu Kazimierza szedł już ciągle milczący, pogrążony w głębokiem zamyśleniu. Na Chmielnej pożegnał się z adwokatem; wyjętym z kieszeni kluczem bramę otworzył, i zataczając się i potykając, pobiegł po schodach do swego mieszkania.

Kazimierz tymczasem, przez Marszałkowską, Królewską, Graniczną, Żabią, plac bankowy i Przejazd, zdążał na Długą. I on zatopił się w przykrych dumaniach, a sceny dramatu, którego był świadkiem, przesuwały się kolejno w jego wyobraźni strasznym korowodem...

C. d. n.



Pożar garbarni w Rzeszowie. Fot. Janusz, Rzeszów.
Miejsce katastrofy na drugi dzień po pożarze.

Straszne morderstwo w chwili szału.

(Do ilustracyi tytułowej).

Ileż to razy ten lub ów, spoglądając na bezmyślną, osowiałą twarz obłąkanego, twarz bez żadnego wyrazu, obojętną, czasami tylko rozjaśnioną głupkowatym uśmiechem — sam bardziej bezmyślnie niż biedna ofiara losu odzywa się:

— „Takiemu to dobrze! taki to jest naprawdę szczęśliwy!".

Spytaj ich, dlaczego tak zapatrują się na tych nieszczęśliwców, a dadzą ci na to sto najnaiwniejszych odpowiedzi, wśród których lwią część stanowić będą nieuzasadnione niczem argumenty takiego rodzaju, jak naprzykład: „przecież go cały świat nie obchodzi", „przecież on nie potrzebuje się o nic troszczyć", „przecież on żyje ot tak, aby żył", „nie ma żadnych trosk, ani zgryzot" i t. p.

Ale czy ci, którzy tak mówią, wglądnęli kiedy w duszę i myśli waryata, czy oni naprawdę twierdzić mogą, że sercem jego nie szarpią jakie zgryzoty i troski? czy mogą w świętem przekonaniu powiedzieć, że przez ten skołatany chory mózg nie przelatują tysiące jak najczarniejszych myśli, że nie nęka ich ten straszny chaos, jaki panuje w tych rozpalonych głowach?

Gdybyśmy szli za zdaniem tych ludzi, to musielibyśmy nie ze serdecznem współczuciem, nie z litością, lecz ze zazdrością spoglądać na te żyjące trupy!...

Lecz mylą się ci, którzy mózg obłąkanych uważają za rolą leżącą odłogiem, nieporuszaną lemieszem myśli! Mózg ich pracuje i to może z większym jeszcze wysiłkiem, niż mózg normalnego człowieka, a dowodem tego tysiące jak najkrwawszych tragedyj i morderstw, jakich się ci nieszczęśliwcy dopuszczają w chwili największego napięcia myśli i walki pojęć zwanej szałem.

A straszną musi być ta walka pojęć, przerażającem musi być takie napięcie myśli, skoro tak okropne są skutki tego szału!...

W kronice wypadków ostatniego tygodnia mamy do zanotowania jeden z takich wstrząsających dramatów.

W Pistyniu przebywał u swych rodziców, bardzo zamożnych mieszczan uczeń siódmej klasy gimnazyalnej Marcin Skowroński, który zapadłszy na chorobę umysłową, musiał przerwać studya i żyć... „ot tak, aby żył"...

Młodym obłąkańcem, którego uważano za nieszkodliwego, nikt się nie troszczył, nikt nie zwracał na niego uwagi. Ubierano go, dawano mu jeść, miał dach nad głową. Cóż więcej trzeba było biednemu obłąkańcowi do życia „bez trosk o jutro, bez zgryzot"?...

Nikt się o niego nie troszczył, nikogo nie dziwiły jego wędrówki nocne, nikt nie zapytał, co dzieje się w duszy jego, jakie uczucia szarpią mu serce. Bezmyślna istota nie interesowała nikogo. Nadeszła jednak chwila, w której Skowroński zwrócił na siebie ogólną uwagę.

W nocy z 11-tego na 12-tego października ktoś zaczął się dobijać do sąsiadów starych Skowrońskich.

Zbudzeni ze snu sąsiedzi, słysząc to dobijanie się, pospieszyli odryglować drzwi i w progu ich domostwa ukazał się zbryzgany krwią z siekierą w ręku Marcin, który w urywanych zdaniach wezwał przerażonych sąsiadów, aby poszli z nim do pomieszkania rodziców, zobaczyć, co się tam dzieje.

Sąsiedzi udali się czemprędzej do domu i serce zamarło w ich piersiach na widok, jaki przedstawił się ich oczom...

W łóżkach leżały krwawe trupy całej rodziny Skowrońskich straszliwie porąbane siekierą...

Stary Skowroński, jego żona i młodszy brat obłąkańca padli ofiarą jednej chwili jego szału.

A Marcin tymczasem pospieszył czemprędzej do Kossowa i oddał się w ręce władz sądowych, które w tej chwili kazały go uwięzić.

Rycina nasza przedstawia chwilę, w której Marcin pomordowawszy rodzinę i chwali się przed sąsiadami tym strasznym czynem.

Pożar garbarni w Rzeszowie.

Przed kilkunastu dniami poruszył miasto nasze straszny, złowróżbny alarm. Około godz. 10-ej wieczorem, złowieszcza łuna i sygnał trąbki pożarnej pozwały tłumy, już na spoczynek udających się mieszkańców miasta w stronę ulicy Mostowej, gdzie snop iskier i smuga gwałtownego żaru, unoszące się z jedynej fabryki miejscowej, akcyjnej garbarni, świadczyły poważnie o panowaniu szalonego żywiołu. Pożar objął pierwsze piętro głównego budynku fabrycznego i w przeciągu kilku zaledwie chwil zdołał zająć cały budynek z wnętrzem nagromadzonych palnych materyałów. O ratunku fabryki nie mogło być już mowy. Znakomicie zrozumieli to kierownicy akcyi ratunkowej pp. Mezer i Szybalski. Całą siłę obrony zwróciła straż pożarna w stronę zabudowań, przyległych do fabryki, które też dzięki nieposlednie pracy i wytężeniu wszystkich sił zdołano uratować.

Pożar fabryki trwał przez całą noc; prawdziwem szczęściem dla miasta, że wiatr lek[...] dął w stronę błoń i Wisłoka, dzięki czemu poż[...] zdołano zlokalizować. Znakomite usługi w czasie pożaru oddało wojsko, które zamknęło ulice, nie dopuszczając do samego miejsca pożaru niepotrzebnych widzów, a następnie ochraniając w pobliżu będące budynki od zajęcia się. — Spalona fabryka, należąca do spółki akcyjnej, wydzierżawioną była p. Blum[...] a zatrudni[...] przeszło 50 r[...]tników; strat[...] budynku i w[...]pasach, ubez[...]czone w towarz[...]stwach: krakowskiem, „Feniksie" i „Dunaj", wynoszą przeszło 300 tysięcy koron. — Zamieszczona fotografia przedstawia gruzy fabryki po pożarze.



Uroczystość stryjskiego Sokoła. Fot. Z. Frey, Stryj.
Poświęcenie kamienia węgielnego pod własne gniazdo „Sokoła" w Stryju.

Uroczystoś[...] stryjskieg[...] „Sokoła".

W dniu 2-go października sokoli stryjscy obchodzili uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod własną sokolską siedzibę.

Na podniosłą tę uroczystość przybyli delegaci „Sokoła" ze Lwowa, Drohobycza, Sambora, Doliny,



Wyst. roln. w Czerniowcach. Fot. Krzanowski, Czerniowce.
Pawilon maszyn rolniczych „Domu dla ziemian“ we Lwowie.

Kołomyi, Mościsk i Tarnopola oraz przedstawiciele i przedstawicielki „Towarzystwa Szkoły ludowej“, „Czytelni kolejowej“, „Gwiazdy“, „Towarzystwa Kościuszki“ i grono młodzieży akademickiej.

Po nabożeństwie w świątyni miejscowej, podczas którego śpiewał chór sokoli, oraz p. Kazimiera Kuncewicz, zgromadzeni druhowie w szyku pochodowym ruszyli na miejsce pod budowę przeznaczone i tu uczestniczyli w akcie złożenia i poświęcenia kamienia węgielnego.

Gdy dopełniono uroczystości kościelnych, na trybunę pięknie w las choinek i chorągwi spowitą wstąpił pierwszy ks. proboszcz Cisło i wziąwszy za motto: „Miłość idei daje siłę“, zwrócił się do zebranych z zachętą do dalszej pracy duchowej i cielesnej dla ongi potężnej i wspaniałej a dziś biednej i skołatanej Ojczyzny, która silnego ramienia w niedoli swej potrzebuje.

„Dotychczas — mówił kaznodzieja — byliście „Sokoli“ pozbawieni ogniska własnego i jako sieroty tułaliście się po cudzych kątach, jak niegdyś dzielne pułki polskie, rozrzucone na obczyźnie! Nadeszła jednak chwila, w której widzieć wam dano wyłanianie się z fundamentów gmachu, w którym siły nasze krzepić będziemy — oby ta chwila i dla ducha polskiego nadejść mogła.“

Entuzyastyczne „Czołem“ sokole zabrzmiało w podzięce za piękne słowa, a za chwilę walił się w niebo z setek pieśni wyrzucony hymn „Bogarodzico“.

Gdy tony pieśni echo bezpowrotnie wokoło rozniosło, z mównicy znowu popłynęły słowa wzniosłe, otuchy i nadziei pełne: przemawiali druh Witkowski, wznosząc okrzyk: „Nowej placówce polskiej — czołem!“, naczelnik V. okręgu lwowskiego Janikowski, oraz prezes stryjskiego gniazda sokolego Hamerski, który podporządkując pracę sokołą najwyższej idei wolności i niepodległości naszej ojczyzny, na pomyślność Polski wzniół okrzyk, podchwycony przez wszystkich uczestników uroczystości.

O godzinie 2-ej sokoli miejscowi podejmowali przybyłych gości ucztą w restauracyi kolejowej, gdzie znowu mowom i toastom końca jakby nie było: przemawiali bowiem druhowie: Janikowski, Kochanowicz, Hamerski, Dienst, ks. Cisło i w. i.

Wieczorem w salach resursy miejscowej odbyła się wieczornica, którą zakończyły ochocze tany, trwające do świtu.

Wystawa rolnicza w Czerniowcach.

Jak poprzednio doniosłem, mieściła się wystawa rolnicza w Czerniowcach w sali Towarzystwa strzeleckiego i w wielkiej hali strzeleckiej i składała się z następujących grup: zboża, warzyw i owoców, maszyn rolniczych, przyrządów mleczarskich i drobiu.

Nagromadzone w salach wystawy piękne okazy jarzyn i owoców wystawione były przeważnie przez dwory bukowińskie.

Wyróżniły się szczególnie obszary dworskie pp.: Kazimierza Bohdanowicza z Oszechlib, 2) Aleksandra Brodowskiego z Piotrowiec (ryciny ad 1 i 2 umieszczone w poprzednim numerze), 3) Jana Flondora z Storożyńca, 4) Feliksa Passakassa z Witelówki, 5) Eudoksego Ursakiego z Baniłowa mołdawskiego, 6) Teodora Flondora z Rogeżeszt, 7) Józefa Fischera i w. i.

Niektóre okazy w dziale hodowli owoców i warzyw były tak piękne, że mogłyby imponować na największej wystawie. Mniej okazów nadesłała ludność wiejska i przedmiejska pomimo, że wybrano porę na tego rodzaju wystawy najodpowiedniejszą, bo porę jesienną, podczas gdy właśnie ta ludność powinna była produktami swymi zapełnić obszar wystawy.

Liczniejszy udział małej własności przedewszystkiem z tych okolic, gdzie produkują się owoce i warzywa na sprzedaż, przyniósłby wielki pożytek i samym producentom, przez wyrobienie im szerszego i korzystniejszego zbytu.

Z wystawą rolniczą połączona była poglądowa wystawa drobiu, gołębi i królików, aranżowana przez prof. Żukowskiego.

Mieściła się ona w osobnem zabudowaniu i zawierała najrozmaitsze rasy i odmiany kur, kaczek,



Zmiana dowództwa w marynarce austro-węgierskiej:
Wiceadmirał hr. Montecuccoli
nowomianowany wódz marynarki austro-węgierskiej.

gęsi, pantarek, indyków, śliczne okazy gołębi i kilka odmian królików.

Wystawę obesłało wielu wystawców polskich przeważnie właścicieli dóbr i przedstawicieli ogrodnictwa handlowego i wszyscy uzyskali zaszczytne odszczególnienie.



Zmiana dowództwa w marynarce austro-węgierskiej:
Admirał baron Spaun
ustępujący naczelny wódz marynarki austro-węgierskiej.



Wyst. roln. w Czerniowcach. Fot. Krzanowski, Czerniowce.
Okazy z dóbr posła Teodora Flondora w Rogożesst.

W dziale maszyn i narzędzi rolniczych otrzymali dyplomy honorowe: fabryka maszyn rolniczych Cegielskiego w Poznaniu (reprezentacya: Dom komisowo-rolniczy, Lwów) i „Dom dla ziemian“ (Lwów); dyplom uznania: Komornicki (Lwów); w dziale drobiu i królików: dyplom honorowy: p. Stanisław Szydłowski (Michalcze), panna Teresa Szydłowska (Czerniowce), panna Helena Bohosiewiczówna (Milijów) i Aleksander Brodowski (Piotrowce), dyplom uznania: pani Jaworska (Balkowce, medal srebrny: p. Stanisław Falkowski (Głochów).

Wystawę zwiedziło przez czas jej trwania, t. j. od 2 do 6 października b. r. kilka tysięcy ludzi z Bukowiny i Galicyi.

Zmiana dowództwa w marynarce austro-węgierskiej.

Zaszła nakoniec dawno zapowiadana już zmiana w komendzie marynarki austryackiej. Długoletni jej wódz naczelny admirał baron Spaun, który po śmierci admirała barona Sternecka objął to odpowiedzialne stanowisko i był zarazem szefem sekcyi marynarki w ministeryum dla spraw wojskowych kilkakrotnie prosił już o zwolnienie go ze służby, motywując swą prośbę tem, że z górą sześćdziesiąt lat przebył już w szeregach.

Jednakowoż stary bohater z pod Lissy, który tam w krwawej bitwie zdobył sobie pierwszą honorową odznakę order Żelaznej korony, cieszył się takiem zaufaniem naszego monarchy i wysokich sfer wojskowych, że zawsze potrafiono go skłonić do cofnięcia podania — aż wreszcie kiedy wiek nie pozwolił mu dalej spełniać uciążliwych obowiązków, cesarz uwzględnił świeżo wniesioną przez starca prośbę i zwolnił go od obowiązków służbowych.

Zdawałoby się, że naczelny wódz tak małej floty, jaką jest flota austro-węgierska, niema tak wiele pracy...

Mylne to zapatrywanie, zwłaszcza, gdy wspomni się o działalności admirała Spauna, który przecie całą flotę zreorganizował, powiększył, uzbroił na nowo i stosownie do nowoczesnych wymagań skorzystał przytem ze wszystkich najnowszych wynalazków.

Zasługi ustępującego wodza są — można to śmiało powiedzieć — niespożyte, a pamięć, jaką po sobie zostawia w historyi marynarki naszego państwa będzie najlepszym i najtrwalszym jego pomnikiem.

A teraz słów parę o nowym wodzu.

Następcą admirała Spauna został mianowany wiceadmirał hrabia Rudolf Montecuccoli, liczący obecnie lat sześćdziesiąt dwa, który jako kadet marynarki brał udział w wojnie przeciw Francyi i Sardynii, a w bitwie pod Lissą zdobył sobie uznanie w wydanym przez naczelnego wodza rozkazie dziennym. Nowomianowany naczelny wódz austryackiej marynarki przez dłuższy czas był komendantem arsenału marynarki w Pola, a w czasie rozruchów chińskich w r. 1900 dowodził eskadrą austro-węgierską na wodach wschodnio-azyatyckich.

Po za tem o nowym wodzu więcej nic nie możemy powiedzieć. Dotychczas cieszy się on ogólnem uznaniem wśród sfer wojskowych, a przyszłość pokaże, jakie zasługi zdobędzie sobie na nowem tak odpowiedzialnem stanowisku.



Fot. Krzanowski, Czerniowce.
Z wystawy rolniczej w Czerniowcach: Okazy z dóbr p. Bohdanowicza z Oszechlibów. (Treść na str. 5).

Królowi Sobieskiemu w hołdzie.

Pamiętna odsiecz Wiednia w roku 1683-im — dzieło, dokonane przez dzielnego króla polskiego Jana III — nie potrzebuje pomników w zwykłem zrozumieniu tego wyrazu: bohaterski czyn ten — jako doniosłego znaczenia fakt historyczny — podnosić będą zawsze podręczniki dziejów powszechnych, a w duszy każdego Polaka róść będzie duma, duma wielka, że w swej własnej historyi takich posiadał wodzów-bohaterów. Z podziwem długo, długo jeszcze wskazywać będą przejezdnym teren walki, stoczonej pod Wiedniem, chociaż się w gruzy i ruiny zwalą wszystkie stawiane na tem pamiętnem miejscu pomniki.

Jeśli więc bohaterskie czyny czcimy bądź co bądź znikomemi z czasem pomnikami — to dlatego, by wskazać, że pietyzm dla rozsławiaczy imienia polskiego zawsze jednakim w sercach naszych płonie zarzewiem, by zamanifestować przed światem nasze niegasnące nigdy i nieprzytłumione mimo niewoli i niedoli uczucia.

Taką chwilą, takiem świętem narodowem będzie poświęcenie w kaplicy króla Jana na Kahlenbergu tablicy pamiątkowej, wmurowanej na pamiątkę odsieczy Wiednia.

Tablicę, której podobiznę w niniejszym numerze podajemy według nadesłanej nam z Wiednia fotografii, zawdzięcza ogół nasz inicyatywie kolonii polskiej w Wiedniu. Ona to, dzięki ofiarności p. Józefa Kuleszy, który bezinteresownie wykonał tablicę, zajęła się skrzętnie przygotowaniem wielkiej uroczystości w sposób jak najokazalszy i najświetniejszy.

Tablica wmurowana została w kościele OO. Kamedułów na Kahlenbergu w zewnętrznej ścianie nad miejscem do t. zw. Kaplicy Sobieskiego, znajdującej się na tem miejscu, na którem wśród gruzów zniszczonego przez Turków kościoła kazał król Jan wystawić ołtarz i wysłuchawszy przed nim mszy św. oraz przyjąwszy komunię świętą, wyruszył na wojska tureckie, rozbił je i zmusił do ucieczki.

Na uroczystość, zapowiedzianą na dzień 20 listopada, spodziewany jest liczny zjazd do Wiednia: przybędzie pomiędzy innymi Henryk Sienkiewicz, który w ostatnich czasach pracuje nad wielką powieścią historyczną p. t. „Sobieski pod Wiedniem“.

Mistrz słowa polskiego wygłosi na uroczystości odczyt, poświęcony królowi-bohaterowi.

Z przebiegiem uroczystości nie omieszkamy zaznajomić czytelników.

Ś. p. dr. Czesław Uhma.

Żal, szczery żal ludzi ogarnia, gdy do mogiły schodzi człowiek młody, energii i zapału do pracy pełen, gdy garstka ludzi czynu maleje i mniejsza liczbą i siłą żegnać musi niezmordowanego towarzysza.

Takim żalem powodowani żegnać dziś musimy ś. p. dr. medycyny Czesława Uhmę, który przed kilku dniami życie swe złamał pod wpływem nerwów zbyt wcześnie potarganych, pod wpływem rozgoryczenia do świata i ludzi...

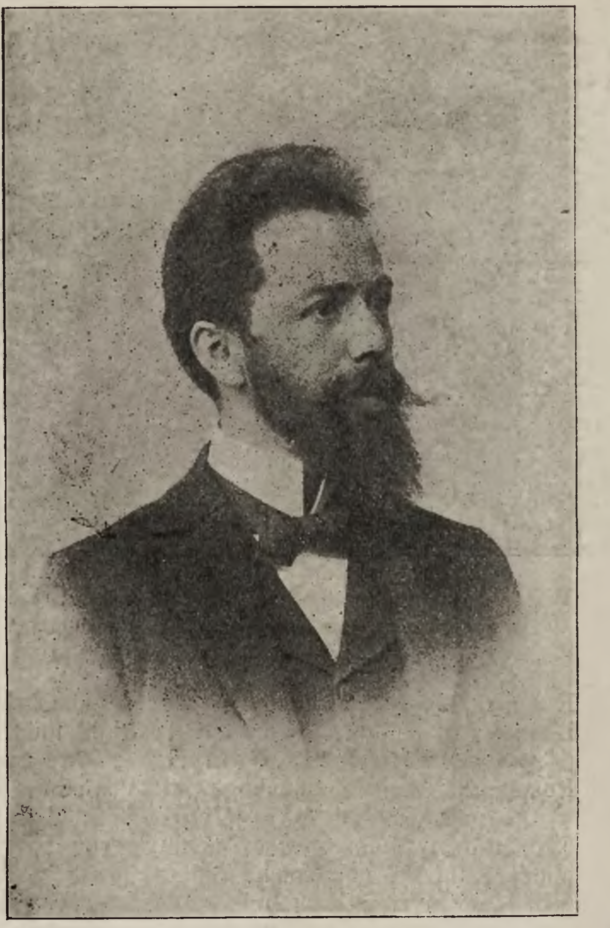
Urodzony w r. 1862 w Krakowie ś. p. Czesław Uhma tu odebrał wykształcenie średnie i wyższe i tu zyskał stopień doktora medycyny.

Umysł żywy, interesujący się sprawami ogólniejszego znaczenia rzucił dr. Uhmę za Ocean — do Ameryki, gdzie młody, pełen dobrych chęci działacz, zapragnął nieść pomoc i otuchę licznym rodakom, gorączką emigracyi owładniętym.

Powróciwszy po mozolnej, niepozbawionej cierni wędrówce do macoszej ziemi, dr. Uhma osiadł na stałe we Lwowie, i tu w dalszym ciągu pędził żywot niezmordowany, nie zaniedbując obok praktyki, która mu dawała utrzymanie — pracy naukowej, zadowolenie i rozgłos dającej, oraz pracy społecznej, jednającej mu sympatyę szerokiego ogółu.

Zawodowe prace naukowe z dziedziny chorób skórnych i wenerycznych literatura specyalna oceni — nam podnieść dziś należy pracę zmarłego w „Kole artystyczno-literackiem“, w „Związku naukowo-literackim“, w „Sokole“ lwowskim, w Towarzystwie Lekarskiem i wielu innych instytucyach; wszystkie one zawdzięczają ś. p. dr. Uhmie zwiększoną i owocniejszą swą działalność.

Oprócz licznych tych prac był zmarły jednym z założycieli „Ojczyzny“ oraz wydawcą Wieku XX.



Ś. p. dr. Czesław Uhma.

Zwłoki ś. p. dr. Czesława Uhmy przewiezione zostały do Krakowa i tu w poniedziałek złożono je na cmentarzu.

Hazard w Przemyślu.

Hazardowa gra w karty zniszczyła już niejedną egzystencyę ludzką, niejednego człowieka popchnęła do samobójstwa lub zbrodni i niejednego strąciła w otchłań nędzy!...

To też nic dziwnego, że władze występują przeciw grze takiej nadzwyczaj ostro, że ścigają ją na każdym kroku i winnych karzą surowo.

Więc też hazard kryje się jak może, a głównie kryją się ci, którzy zeń ciągną porządne zyski. Kryją go więc fachowi gracze, których ofiarą rozboju padają naiwne jednostki, pragnące swe mienie grą podwoić, jeśli szczęście na to pozwoli, kryją go właściciele kawiarń i restauracyi, łakomiący się nie na zwykły, uczciwy zarobek, ale na grube opłaty od kart i „stolików“, kryją go i bogato urządzone salony i spelunki ostatniego rzędu.

A te spelunki ostatniego rzędu, gdzie najuboższe warstwy ludności hazard porywa w swe szpony, rujnuje je i sprowadza na najgorsze drogi, to są najstraszniejsze jaskinie — i władze istotnie mają wielką zasługę, ilekroć wpadną na trop takiej kryjówki i raz na zawsze uczynią ją nieszkodliwą.

Taką jaskinię hazardu odkryła ubiegłego tygodnia policya w Przemyślu.

Rozmaite wersye krążyły po owem mieście o tamecznej restauracyjce Bernarda Siegla przy ulicy Dobromilskiej. Władze policyjne baczną zwróciły uwagę na ten podrzędny lokalik, nieraz wkraczały niespodzianie, chcąc się przekonać, czy wieści o uprawianym tam hazardzie mają jakieś realne podstawy, ale zawsze napróżno. Właściciel lokalu i jego goście umieli udaremnić te zamachy policyi, w czas dowiadywali się zawsze o zamierzonych przez władzę rewizyach.



Hazard w Przemyślu: Ajent policyjny Golec aresztuje graczy w restauracyi przy ul. Dobromilskiej.



Ś. p. Wiktor Brodzki. (Treść na str. 13).

Do czasu jednak dzban wodę nosi. Dziś dla lokalu tego bezpowrotnie minęły piękne dni Aranjuezu. Ajent policyi przemyskiej, Golec, patrolując zeszłego tygodnia w ulicy Dobromilskiej, całkiem niespodziewanie wtargnął wraz ze żołnierzami policyjnymi do tej restauracyjki i zastał przy „ferbelku“ cztery indywidua: Judę Kupfera, Pinkasa Scharfa, Zallela Schlafa i Borucha Lippera.

Konsternacya graczy w chwili, gdy ajent Golec zjawił się, aby w „grze niewinnej“ powiedzieć swoje „besser“ i „po blindzie“ była ogromna — lecz ciężko było im z losem walczyć. Karty i pieniądze leżące na stole padły ofiarą natychmiastowej konfiskaty i niefortunni gracze będą musieli w dodatku przed sądem odpowiadać za grę hazardową, jaką dłuższy czas już uprawiali...

Na 10 lat ciężkiego więzienia.

Krakowska ława sędziów przysięgłych pod przewodnictwem radc. sądu Ferensa rozpatrywała w tym tygodniu sprawę morderstwa dokonanego w czerwcu br. na osobie śp. Anny Boguckiej, żony tutejszego profesora gimnazyalnego — sprawę morderstwa, które swego czasu grozą przejęło Kraków cały. Oskarżona o to morderstwo jest 18 - letnia dziewczyna z Taszyc Anna Batkówna. była służąca pp. Boguckich.

Według aktu oskarżenia Batkówna zachowywała się w służbie u prof. Boguckiego tak krnąbrnie i nierzetelnie. a prócz tego tak często dopuszczała się na szkodę swych służbodawców drobnych kradzieży, że śp. Anna Bogucka musiała ją wydalić. Dnia 1 czerwca rano, t. j. wówczas, gdy Batkówna miała odejść ze służby, lokatorzy kamienicy pod l. 19 przy placu Groble, gdzie na pierwszem piętrze mieszkali p. p. Boguccy, usłyszeli zawziętą kłótnię między śp. Bogucką a Batkówną, następnie brzęk zbitej szyby i ciche jęki. Wszyscy jednak, znając gwałtowne usposobienie Batkówny nie zwracali na to uwagi, bo myśleli, że to jest jedna ze zwykłych awantur urządzanych przez gwałtowną dziewuchę; jęki zaś, dolatujące ich, wzięli za płacz Batkówny.

Dopiero gdy po godzinie dwunastej synek pp. Boguckich powróciwszy ze szkoły narobił krzyku, że matka jego leży w kuchni zabita, zrobił się rumor w całej kamienicy, dano znać o tym strasznym wypadku policyi, zawezwano pracującego w gimnazyum biednego profesora Boguckiego.

Pomieszkanie pp. Boguckich straszny przedstawiało widok. Ś. p. Bogucka leżała w kuchni na wznak wśród kałuży krwi, blada, prawie martwa. Obok niej porzucona była zbroczona krwią, świeżo ułamana rękojeść siekiery. Na stole kuchennym spoczywał skrwawiony siekacz.

Nieszczęśliwa ofiara przyszła wprawdzie na tyle do przytomności, że była w stanie wskazać na Batkównę, jako na swoją morderczynię, ale mimo wszelkich wysiłków lekarskich niebawem w szpitalu św. Łazarza zakończyła życie. Sekcya zwłok zmarłej wykazała. że Batkówna formalnie znęcała się nad swoją panią, bo zadała jej aż ośmnaście ran na szyi i głowie.

Batkówna, po dokonaniu tej strasznej zbrodni, okradła jeszcze śp. Bogucką i uciekła do Morawskiej Ostrawy, gdzie ją ostatecznie złapano.

Podczas rozprawy cały szereg świadków wystawił bardzo niepochlebne świadectwo dla oskarżonej, z wyjątkiem niektórych świadków odwodowych.

Sędziowie przysięgli po dokładnem zbadaniu sprawy uwzględnili tłumaczenie się Batkównej, która przyznając się do zbrodni kradzieży oświadczyła, że na śp. Bogucką rzuciła się w chwili takiego gniewu i podrażnienia, że nie mogła zapanować nad sobą — i zatwierdzili jedynie pytania postawione im przez trybunał w kierunku zbrodni zabójstwa i kradzieży, zaprzeczając natomiast pytanie w kierunku rozmyślnego morderstwa.

Na podstawie tego werdyktu trybunał wydał wyrok skazujący Annę Batkównę na dziesięć lat ciężkiego więzienia, obostrzonego postem co miesiąc, a ciemnicą co rok w dniu 1 czerwca, jako w dniu spełnienia zbrodni.



Na 10 lat ciężkiego więzienia: Anna Batkówna.



Stołeczna rozpusta. Fot. Bahrymowicz. Lwów.

X Kamienica dra Bikelesa pod l. 43 na rynku lwowskim, w której krył się lupanarz Marcichowej.

Stołeczna rozpusta.

We Lwowie w samym Rynku skutkiem anonimowego listu, jaki nadesłano prokuratoryi Państwa odkryła policya — lupanarz.

Lupanarz?! Nie! jeszcze coś stokroć gorszego, bo lupanarzy we Lwowie jest wiele, ale lupanarzy „koncesyonowanych“ znanych władzom, gdzie figurują damy, które z fachu uprawiają miłość i sprzedaż rozkoszy! Tymczasem tajemny lupanarz w Rynku lwowskim miał wszelaki towar na sprzedaż! Począwszy od tak zwanych „kryjówek“ czyli dam z półświatka, a skończywszy na damach z wyższego towarzystwa i nawet — w tem miejscu zgroza musi przeniknąć najbardziej zepsutego człowieka — trzynastoletnich dziewczynkach wszystko można było dostać w „składzie“ pani Katarzyny Marcichowej!...

W samym rynku, w kamienicy dra Bikelesa oznaczonej liczbą 43 na trzeciem piętrze mieszkała „sobie“ a raczej wszystkim obfitującym w grosz donżuanom, pani Katarzyna Marcichowa.

Dama ta miała poza sobą ładną, ale burzliwą przeszłość. Po wesołem panieństwie wyszła za mąż za portyera hotelowego, ale... legalny mąż nie przypadł jej do smaku, więc — jak się sama wyraża „puściła go w dyabły“ i serce swe ofiarowała Zygm. Hauerstockowi, „agentowi“, który, jako „rozumny“ człowiek wziął się do rentownej pracy ułatwiania schadzek panom i damom z towarzystwa, lub dostarczania żywego nieletniego towaru. Interes zakochanej spółce szedł znakomicie, ale cóż? Anonimowy list i wkroczenie policyi przerwało wszystko...

Aresztowano „panią“ Marcichów, dostał się w ręce policyi „pan“ Hauerstock, a dla towarzystwa osadzono także w więzieniu śledczem „lokaja“ — cichego wspólnika Majorka, matkę „pani“ Marcichowej Anastazyę Piwocką i faktora Majera Hollendra vel Kalperna.

To są ci co pośredniczyli, a obok nich zamknięto panią Paulinę Kołodziejową, która swą trzynastoletnią siostrzyczkę sprzedała za 100 koron do „łaskawego użytku“ gości „pani“ Marcichowej.

Rozpusta wyszła na jaw, ale aresztowano dotychczas tylko namacalnych grzeszników. Cały szereg dam z towarzystwa, na które nawet cień podejrzenia nie padał, dziś nosi piętno kurtyzanek. Listy, papiery i notatki, jakie znaleziono w lupanarzu dadzą obfity materyał sądowi. Codzień w tej sprawie następują nowe aresztowania a Lwów — Lwów cieszy się z senzacyi i ze swej europejskości!...

Czytelnikom naszym podajemy zewnętrzny widok domu, będącego ogniskiem kultury lwowskiej.

Katastrofa kolejowa.



Katastrofa kolejowa: Tor kolejowy przed uprzątnięciem.

Ameryka przewyższa Europę pod każdym względem — ba! nawet pod względem katastrof. Nie prędko doczekamy się tej szybkości, z jaką liczne pociągi przerzynają Stany Zjednoczone w różnych kierunkach — nie prędko; nie będziemy natomiast świadkami tak straszliwych, jak się tam zdarzają katastrof. Postęp ma swe dobre strony, lecz i złych nie jest pozbawiony — bo tam, gdzie jest szybkość, trudniejsze jest oryentowanie się w sytuacyi — i to właśnie jest najczęstszym powodem katastrof kolejowych.

Podobnie rzecz się miała w ostatnim wypadku, jaki wydarzył się w dniu 3-im października w Stanach Zjednoczonych na kolei Union-Pacific, łączącej Ocean Spokojny z Atlantykiem. Na linii Missouri-Pacific w pobliżu stacyi w Warensbourg najechały na siebie dwa pociągi kolejowe, przepełnione przez pasażerów,



Księżna Ludwika bawarska w Krakowie: Księżna Ludwika bawarska, siostra arcyksięcia Karola Stefana z Żywca.

podążających i wracających z Saint Louis, gdzie mieści się wielka wystawa wszechświatowa. Z niezwykłą szybkością dążące pociągi wpadły z olbrzymią siłą na siebie... Jeden przeraźliwy huk zwiastował zderzenie; wagony pogruchotane w jednej chwili zasypały tor, na dłuższej przestrzeni zrujnowany; pierwsze kilkanaście wagonów zniszczone zostały doszczętnie, pozostałe otrzymałe cięższe lub lżejsze uszkodzenia. Kto straszną tę chwilę przebył przytomnie, kto nie zasypany został wśród rumowiska i kto nie zemdlał ze strachu — ten biegł na ratunek.

Nie w każdem jednak miejscu pomoc była skuteczna: z pod stosu części składowych wagonów i lokomotyw, na piętro wysoko usypanych, wydobywały się jęki i nawoływania ludzkie, ratujący stali jednak z opuszczonemi rękoma, bo najmniejsze dotknięcie się jednej belki groziło zupełną zagładą licznych nieszczęśliwych.

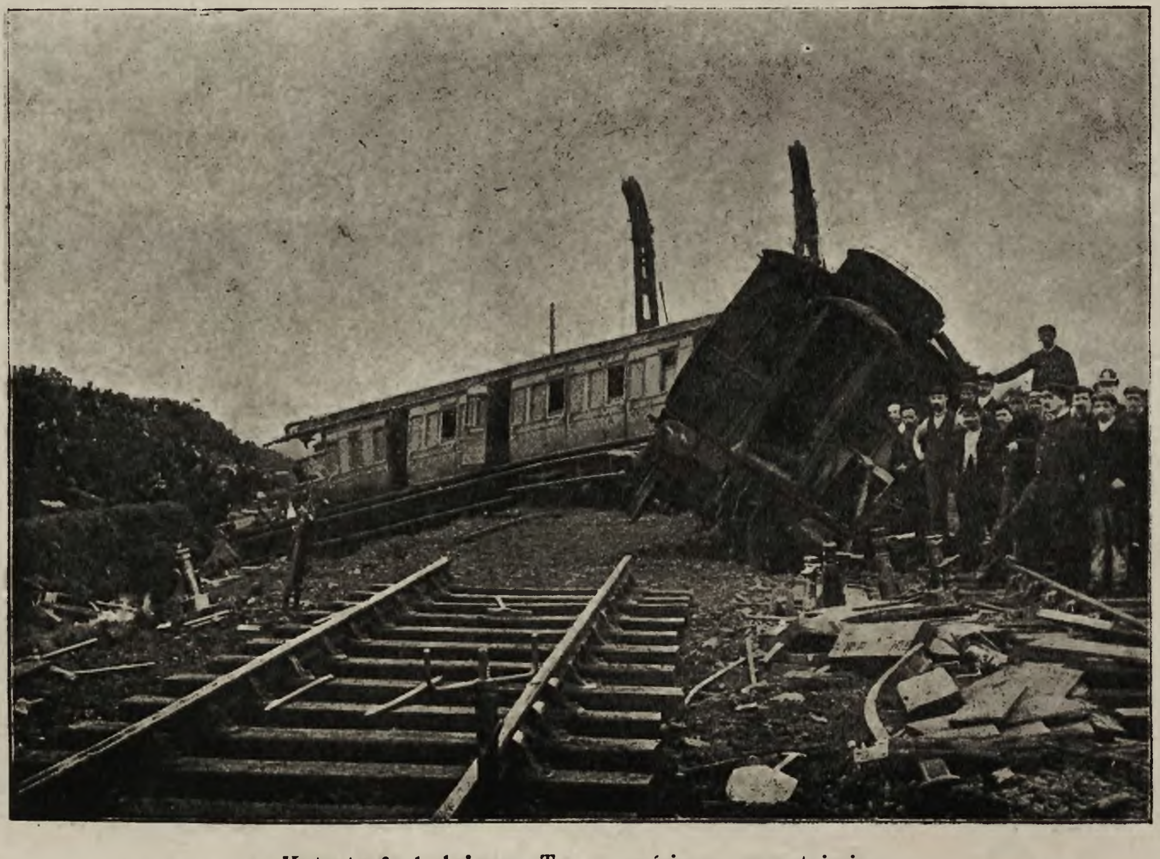
— „Cierpliwości i spokoju!" — wołano naokół, lecz jak tu można było być cierpliwym i spokojnym, gdy żywy człowiek konać musiał w usypanym przez los grobie; nadludzkich wysiłków używali nieszczęśliwi, byleby się od grożącej śmierci uchronić.

Setki rąk przez kilka godzin pracować musiało z wielkiem skupieniem i systematycznością w ciągłej obawie, że jeden fałszywy krok dziesiątkom życie odbierze.

Jęki i nawoływania towarzyszyły tej odpowiedzialnej pracy.

A gdy tor oczyszczono, na miejscu katastrofy pozostało 30 trupów, nie licząc rannych, którzy w drodze do szpitala pomarli.

Ryciny, jakie tu podajemy, przedstawiają teren katastrofy po częściowem oczyszczeniu toru kolejowego.



Katastrofa kolejowa: Tor po częściowem uprzątnięciu.

Księżna Ludwika bawarska w Krakowie.

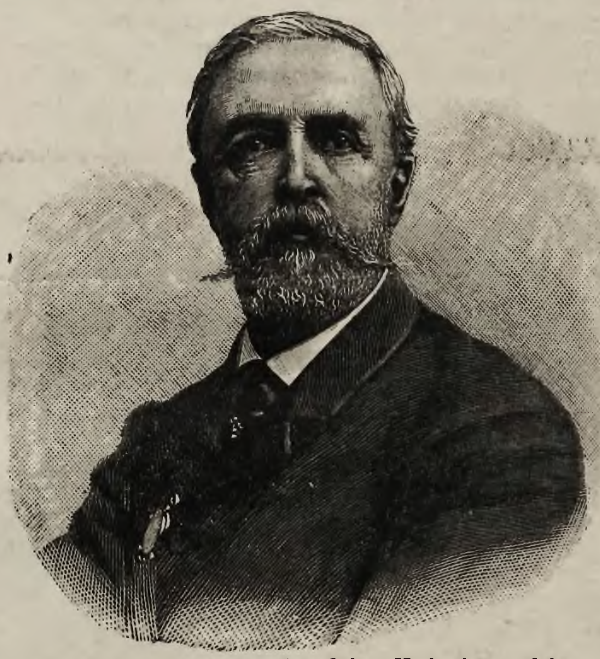
Ostatniemi czasy Kraków gościł w swych murach księżnę bawarską Ludwikę, rodzoną siostrę Arcyksięcia Karola Stefana z Żywca, członka panującej w Austryi rodziny Habsburgów, który nie tylko płynnie i chętnie mówi po polsku, ale także zamuje się naszymi sprawami, a nawet stawia pomniki dawnej historyi polskiej, jak naprzykład ufundowana przezeń tablica w Żywcu, poświęcona pamięci króla Jana Kazimierza, do którego należał ongiś Żywiec, obecnie posiadłość arcyksięcia.

Księżna Ludwika, zachęcona przez Arcyksięcia Stefana, uznającego, że Kraków posiada rzeczywiście godne widzenia rzeczy, zjechała do Krakowa celem zwiedzenia pamiątek i osobliwości naszego starożytnego grodu. Zająwszy wspaniałe apartamenty w „Grand-Hotelu" i odpocząwszy po podróży, księżna Ludwika rozpoczęła swą wędrówkę po mieście i nie pominęła niczego, co tylko jest uwagi godnem. Największe wrażenie — jak sama się wyraziła do swego otoczenia — zrobiły na niej: starożytny mur wraz z bramą Floryańską i i katedra na Wawelu, gdzie dłuższy czas spędziła w krypcie mieszczącej groby królewskie i z wielkiem zajęciem przysłuchiwała się objaśnieniom, jakie jej dawał ks. kanonik Wądolny, desygnowany przez księcia biskupa Puzynę na przewodnika księżnej.

Wspominając o tej wizycie księżnej Ludwiki bawarskiej w naszem mieście, podajemy równocześnie i jej podobiznę.

Dziennikarz na tronie.

Dziennikarstwo, to jedna z tych nielicznych dziedzin pracy społecznej, pod której sztandar zaciągnąć się wolno każdemu, kto rozumnym głosem swym, doświadczeniem i bezstronnym światopoglądem chce przysłużyć się ogółowi, kto pragnie wcielać swe ideały w zbiorową duszę mas, kto czuje potrzebę niesienia przed narodem pochodni oświaty.



Dziennikarz na tronie: Oskar II, król szwedzki.

Dlatego to ogół dziennikarzy jest różnorodnym i różnobarwnym; nie urodzenie, nie stan, nie stosunki lub regulaminem zastrzeżona ilość lat służby daje rękojmię miana publicysty, ale chęć rozumnego służenia społeczeństwu, w połączeniu z wiedzą, nauką i doświadczeniem zdobytą.

Prasa to potęga; rozumieją to aż nadto od dawna ludzie pracy społecznej oddani duszą całą i niejednokrotnie z tej publicznej trybuny rzucają myśli swe, projekty i program. Z tej też trybuny, dając poznać się ogółowi, zdobywają szacunek, posłuch, znaczenie, a często i dostojeństwa.

Przejrzyjmy listy mężów stanu w krajach konstytucyjnych, a przekonamy się, że znakomita większość działa-



Bohater niemiecki w Afryce: Jenerał Trotha. komendant wojsk niemieckich, walczących z Hererami.

czy politycznych, wysokie zajmujących stanowiska, nie pogardzała pracą publicystyczną, a nawet często dzięki niej dawała się poznać i uzyskiwała odpowiedzialne stanowiska dyplomatyczne.

Największy procent dyplomatów z pośród dziennikarzy, dostarcza Francya; nie masz tu ministra, któryby karyery swej od publicystyki nie zaczynał i w tej drodze nie dał ocenić swe zdolności i siły, dzięki wybitności których zyskał powszechne uznanie.

Wśród posłów naszych nie brak również publicystów, a i na wielu innych placówkach społecznych i autonomicznych ma dziennikarstwo swych przedstawicieli, którzy, jeśli działają rozumnie i bezinteresownie, zaszczyt korporacyi przynoszą.

Chlubą dziennikarstwa wszechświatowego jest król Oskar II., władca Norwegii i Szwecyi. Mimo olbrzymiej pracy nad zarządem zjednoczonych krajów, nie ignoruje sędziwy król żadnej dziedziny pracy społecznej, a zwłaszcza literatury i dziennikarstwa, któremu od najmłodszych lat się poświęca i literaturze ojczystej przynosi chlubę swemi pracami.

Przygotowany do pracy tej naukowo, bo ukończył studya swe z tytułem doktora filozofii, król Oskar z zamiłowaniem poświęca się literaturze naukowej i nadobnej — wydał wiele dzieł treści historycznej, kilka dramatów oraz zbiór poezyi lirycznych — a wszystkie utwory te posiadają dużą wartość i przejdą do historyi literatury z takim blaskiem, jakim dziś sędziwego monarchę otacza miłość jego narodu.

Dziennikarstwo szwedzkie i norweskie ocenia zaszczyt, jaki mu ukoronowany członek przynosi, szanuje go nietylko jako monarchę, lecz i jako kolegę, stojącego ponad wszystkie partye; dlatego to podczas 34-letnich rządów króla Oskara żaden dziennik nie miał procesu o obrazę majestatu, bo ani jednem przykrem słówkiem nie dotknął swego członka honorowego.

Wywzajemniając się za to, król Oskar żywo zajmuje się rozwojem publicystyki, czego przykład mamy z obchodzonej przed kilkoma dniami dziesiątej rocznicy istnienia korporacyi dziennikarskiej w Norwegii, na którą to uroczystość wysłał własnoręczne życzenie dalszego rozwoju instytucyi, którą za wielce pożyteczną i wpływową uważa. Dumnym jest z niego cały świat dziennikarski.

Nowa placówka niemczyzny w Poznaniu.

Na rdzennie polskiej ziemi w Poznaniu znów Niemcy zatknęli świeży sztandar swej sławy...

Sławy? tak! tej herostratesowej sławy, jaką okryła się żmija z bajki naszego wieszcza Adama, która zmarznięta, konająca, znaleziona i przywołana do życia przez litościwego chłopa, co ogrzał ją przy własnej piersi, potem w oznakę wdzięczności w tę samą pierś wpiła mu zęby!...

Na rdzennie polskiej ziemi w Poznaniu pamięci pruskiego cesarza Fryderyka, potomka tego rodu, którego protoplasta składał na klęczkach hołd polskiemu królowi w Rynku Krakowskim, postawiono pomnik: muzeum historyczne jego imienia.

Muzeum to, którego budowę rozpoczęto jeszcze w roku 1899, zbudowane w stylu renesansowym, wznosi się przy zbiegu ulicy Nowej z ulicą Wilhelma i jako piękny gmach istotnie jest ozdobą miasta, a jako pamiątka istotnie dziejami swemi przypomina historyę Prus...

Jak ukradziono nam księstwo brandenburskie, zaczątek dzisiejszej potęgi Hohenzollernów, tak samo zabrano nam i teren pod tę budowę...

Jak z „dobrowolnych" darów i w „dyplomatyczny" sposób zdobytych przywilejów powstały Prusy — tak samo i wnętrza sal muzeowych wypełniły „dobrowolne" dary w tym guście, jak... biblioteka i bogate dary hrabiego Atanazego Nałęcz-Raczyńskiego...

Gazety niemieckie wśród hymnów pochwalnych, wznoszonych na cześć tej nowej placówki niemczyzny, same robią podobne porównanie, ale robią je w delikatny sposób, nie przyznając się do „raubritterstwa" pruskiego, lecz zwąc je „drogą pertraktacyi i układów".

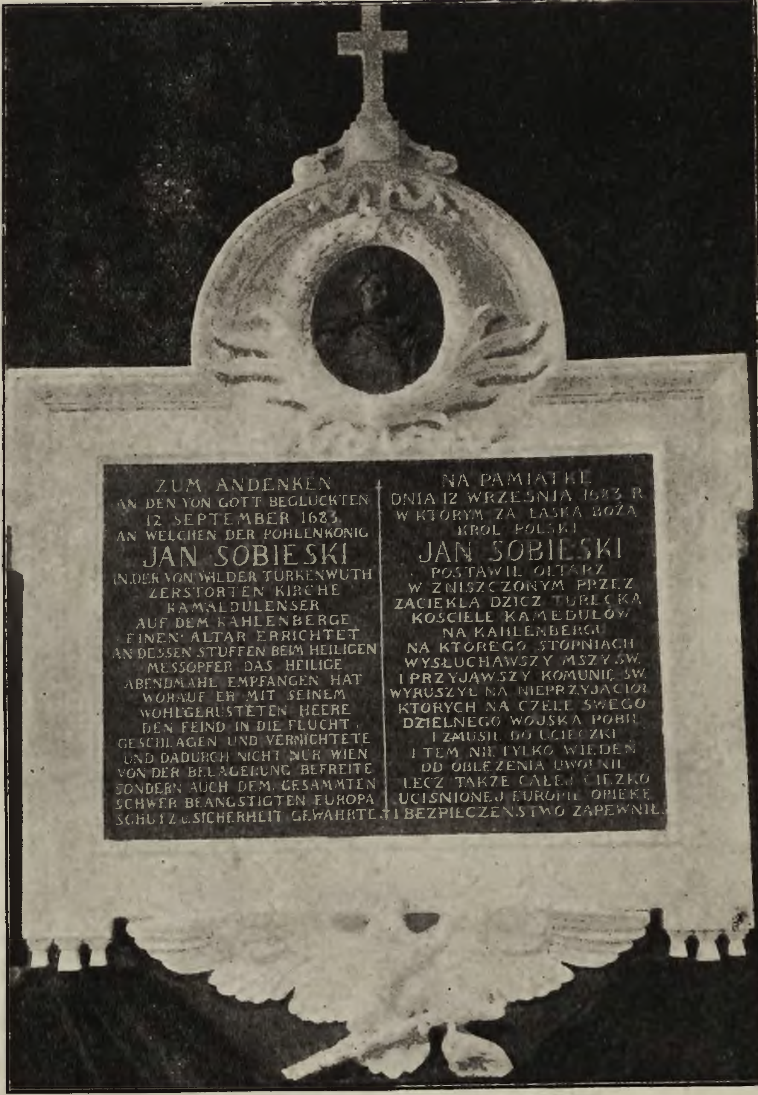
Dnia 5-go października odbyło się uroczyste otwarcie nowego muzeum i oddanie go na użytek publiczny.

Od tego dnia Polacy zamieszkali w Poznaniu i przyjezdni mogą badać, jak podobną jest historya tego gmachu do dziejów pruskich, mogą na każdym kroku przypatrzyć się, jak wygląda pruska droga „pertraktacyi i układów", jakie cechy noszą zdobyte przez Niemców przywileje...

Na rdzennie polskiej ziemi w Poznaniu znów Niemcy zatknęli świeży sztandar swej sławy!

Sławy?

Tak! sławy — raubritterów!...



Królowi Sobieskiemu w hołdzie: Tablica pamiątkowa, wmurowana w kaplicy na Kahlenbergu na pamiątkę odsieczy Wiednia.



Nowa placówka niemczyzny w Poznaniu: Gmach muzeum imienia cesarza Fryderyka w Poznaniu.

Bohater niemiecki w Afryce.

W pierwszym numerze „Nowości illustrowanych" wspomnieliśmy o walkach, jakie niemieccy kulturtregerzy toczą w swych afrykańskich koloniach ze „zbuntowanym" szczepem Herrerów, którzy, nie umiejąc się poznać na dobrodziejstwach pruskich cywilizatorów w guście księcia Ahrenberga, podnieśli oręż w obronie swej wolności i swoich skór zdzieranych przez niemieckich kolonistów z takim zapałem, jaki cechuje oprawców.

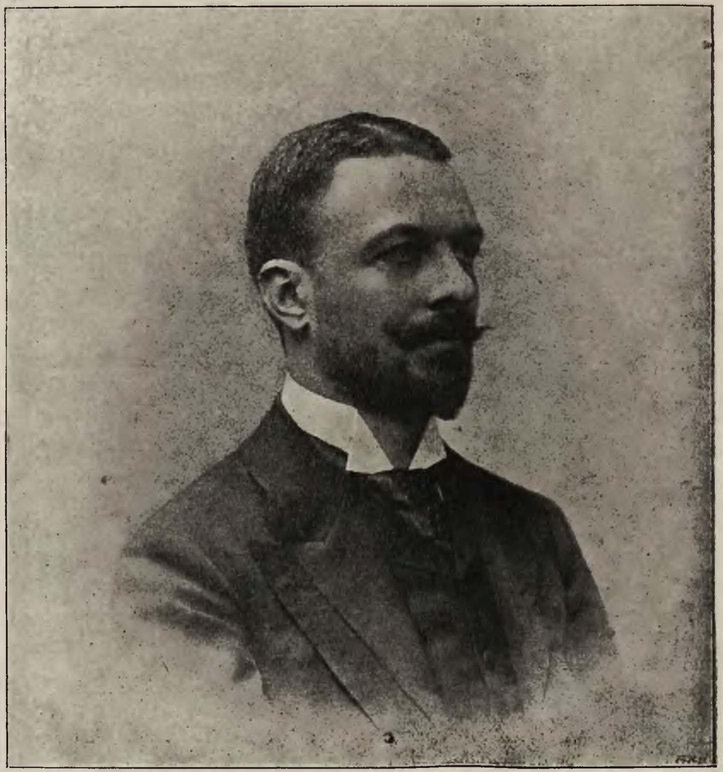
Już wówczas zaznaczyliśmy, że z pola tych walk żadne pisma nie podają wiele wiadomości, że państwa niemieckie zbywają wszystkie wypadki afrykańskie wstydliwem milczeniem. Widocznie bohaterom pruskim nie bardzo dobrze się wiedzie, widocznie miast bić czarnoskórych, sami dostają od nich porządne cięgi, skoro nie głoszą na swą cześć hymnów tryumfalnych.

Bohater niemiecki, jenerał Throta, wysłany z posiłkami na plac boju, widocznie wskórał w tej walce to samo, co kolonialne zastępy wojsk niemieckich — czyli na własnym grzbiecie odczuł, że z Herrerami nie można żartować, bo „dziki" ten naród nie myśli wcale padać plackiem przed potęgą niemieckiego imienia.

Gdy jenerał Throta wraz z oddanem mu pod dowództwo wojskiem wsiadał na okręt, wszystkie dzienniki niemieckie straszną klęskę przepowiadały Herrerom. Gdy bohater ten wylądował już w Afryce, w prasie niemieckiej odezwały się liczne głosy, stawiające najróżnorodniejsze projekty ukarania Herrerów, których pobicia lada dzień się spodziewano, ale gdy jenerał niemiecki zapuścił się w głąb kraju, gdy nadeszły wieści o jego niepowodzeniach, co prawda ustrojonych w sukienkę mglistych przyczyn, tłómaczących i składających na karb osławionej *vis major* swe niepowodzenia — dzienni-



Katastrofa kolejowa: Niesienie pomocy rannym. (Treść na str. 8).



Nowy namiestnik Bukowiny: Dr. Regner von Bleyleben.

Niemców jest doprawdy zadziwiającą!... Widocznie zatem bohatera niemieckiego w Afryce, którego podobiznę podajemy w dzisiejszym numerze, los zdobić musi w laury bardzo wątpliwej sławy!... karze niemieccy ucichli, dzienniki niemieckie zaprzestały nawet podawać do wiadomości publicznej faktów co do stanu rzeczy w koloniach afrykańskich. Skromność ta butnych i chełpliwych zawsze

Nowy namiestnik Bukowiny.

Bukowina jest jednym z tych krajów austryackiej korony, które są dopiero w przededniu rozwoju, którym przyszłość — jeśli wolno użyć tego wyrazu — otwiera się dopiero...

Zwłaszcza teraz, kiedy w sejmie bukowińskim złączyło się w jedną zgodną całość kilka stronnictw i wytworzyło zdolną do pracy większość, która — jak to sama oświadczyła — uwzględniać będzie sprawiedliwość i uzasadnione żądania mniejszości, można mieć nadzieję, że Bukowinie świta nowa era w życiu społecznem i politycznem...

W tej właśnie chwili w politycznym zarządzie Bukowiny zaszła poważna zmiana.

W miejsce dotychczasowego jej namiestnika księcia Hohenlohego, który został mianowany namiestnikiem Tryestu, przyszedł nowy reprezentant rządu, radca ministerstwa spraw wewnętrznych dr. Regner von Bleyleben.

Nowy namiestnik Bukowiny, syn profesora politechniki berneńskiej, urodzony w roku 1866, a więc mający obecnie trzydzieści ośm lat, po ukończeniu studyów uniwersyteckich poświęcił się służbie politycznej — i widocznie umiał się odznaczyć wybitnemi zdolnościami, skoro tak szybko zdołał dojść do podobnie odpowiedzialnego stanowiska.

Rzec można, że dr. Bleyleben jest wychowankiem obecnego prezydenta ministrów Koerbera, gdyż dopiero w chwili, kiedy Koerber stanął u steru rządów, obecny namiestnik Bukowiny począł awansować i przesuwając się rączo ze szczebla na szczebel, doczekał się chwili, w której powierzono mu zarząd Bukowiny.

Jaką działalność rozwinie dr. Bleyleben na nowem swem stanowisku, trudno z góry przesądzać. Czy Bukowina pod jego egidą zyska, czy straci, na to dziś odpowiedzieć nie można. Lepiej wstrzymać się od przepowiedni i nie podejmować się roli proroka, lecz czekać, co przyszłość przyniesie i wydać sąd po dokonanych faktach.



Ohydna zbrodnia we Wiedniu: Policya wiedeńska przeprowadza wstępne śledztwo w pomieszkaniu Kleinów.

Ohydna zbrodnia we Wiedniu.

Kronikarze wiedeńscy nie mogą się chyba skarżyć na brak senzacyi. Co dnia mają coś świeżego do zanotowania: jeśli nie skandal towarzyski, to jakąś defraudacyę i to porządną — jeśli nie defraudacyę, to kradzież albo morderstwo... Wiedeń obfituje we wszystko a zwłaszcza w wielką ilość morderstw dla rabunku i to morderstw popełnianych z zimną krwią i jak największem wyrafinowaniem.

Ostatnie takie morderstwo, popełnione w ubiegłym tygodniu, poruszyło cały Wiedeń, bo ofiarą jego padła wybitna jednostka, członek rady miejskiej i bardzo bogaty przemysłowiec, Jan Sikora.

W dzielnicy „Mariahilf“, przy ulicy św. Magdaleny, mieszkali państwo Kleinowie; on, Henryk Klein, wraz z niejakim F. Pietschem do spółki posiadał handel towarów bronzowych, który szedł im znakomicie i przynosił znaczne zyski, ona, pani Franciszka, za panieńskich czasów była damą lekkich bardzo obyczajów, a po wyjściu za mąż, porozumiawszy się na tym punkcie z godnym swoim małżonkiem, uprawiała dalej proceder łatwych miłostek, każąc sobie naturalnie płacić o wiele więcej, niż wówczas, gdy urzędowo trudniła się sprzedażą swych wdzięków. Do grona licznych wielbicieli pięknej pani Kleinowej należał i Jan Sikora,

który mimo swoich siedemdziesięciu dwóch lat był jeszcze donżuanem i to donżuanem nielada.

Dnia 3-go października Jan Sikora wyszedł z domu i nie pokazał się już więcej, w parę dni później opuścili Wiedeń Kleinowie.

Na zniknięcie Sikory, który będąc wdowcem mieszkał osobno i nieraz nie zawiadamiając nikogo czynił różne kilkudniowe nawet ekskursye, nie zwrócono nawet uwagi i zapewne straszna zbrodnia, spełniona na nim, nie prędko byłaby wyszła na jaw, gdyby wspólnik handlowy Kleina, Pietsch, który po wyjeździe Kleinów przechodząc koło ich mieszkania, nie wiedząc nawet nic o ich wyjeździe, nie zauważył, że jedno okno z zajmowanych przez Kleinów lokalności mimo burzy i deszczu jest otwarte.

Pietsch, który miał drugi klucz do pomieszkania Kleinów, wszedł, zamknął okno i udał się znów do swego sklepu. Nazajutrz Pietsch znów wraz ze swoim prokurzystą udał się do Kleinów. Gdy obaj panowie weszli do pomieszkania, zaduch, jaki tam panował i woń trupia zwróciły ich uwagę. Przerażeni poczęli przeszukiwać pomieszkanie i z pod kanapy stojącej w przeciwnym pokoju wyciągnęli worek, w którym znaleźli zwłoki Sikory, z odrąbanemi nogami i głową.

O strasznem tem odkryciu natychmiast zawiadomiono policyę, a śledztwo wykazało, w jaki sposób Kleinowie dopuścili się tej strasznej zbrodni. Kleinowa zwabiła czułego na jej wdzięki Sikorę



Wypadek z samochodem: Ks. Connaught.

do swego mieszkania i tu, wraz z mężem, bez żadnych skrupułów zamordowała nieszczęśliwego starca, poczem sama udała się do jego pomieszkania, skąd zabrała całą jego gotówkę, papiery wartościowe i książeczki wkładkowe. Kleinowie tak pewni byli swej bezkarności i tego, że zbrodnia nie wyjdzie na jaw rychło, że dopiero uregulowawszy swe interesy na trzeci dzień po spełnieniu zbrodni wyjechali z Wiednia i umknęli za granicę.

Nie długo jednak cieszyli się wolnością. Przybyli bowiem do Paryża i zamieszkali na Rue de Saint Denis pod nazwiskiem Kuhn. Tu jednak kilku lokatorów poznało ich z rysopisu i dało znać policyi, która natychmiast przyaresztowała morderców.

Rycina nasza przedstawia chwilę, w której powiadomiona przez Pietscha policya przybyła na miejsce zbrodni celem prowadzenia wstępnego śledztwa i skonstatowania, czy istotnie zwłoki ofiary Kleinów należą do Jana Sikory.

Z wystawy w Saint-Louis.

Jednym z najbardziej interesujących działów na wszechświatowej wystawie w Saint-Louis jest dział ludów egzotycznych, ze szczególnem uwzględnieniem dzikich mieszkańców Stanów Zjednoczonych, nieznanych już nietylko Europie, ale i cywilizowanym środowiskom nowego świata. Takiej masy przedstawicieli różnych ras i szczepów, jak na wystawie w Saint-Louis, nie było dotychczas nigdzie na żadnej z ostatnich wystaw.

Pawilony ludów egzotycznych mieszczą się w tak zwanym Forest-parku i reprezentują wszystkie prawie narodowości, w dzikim stanie żyjące.



Z wystawy w Saint Louis: Grupa mieszkańców z Arizony.

Wszystkie te żywe okazy pokazywane są w tem otoczeniu, jakie mają w swej ojczyźnie: a więc w wiernie skopiowanych chatach, zaopatrzonych we wszystkie niezbędne, a oryginalności nie pozbawione sprzęty i urządzenia.

Cały teren tej części wystawy usiany jest pagodami chińskiemi, wschodnimi pałacami, które grupowane obok najstraszniejszych chat i szałasów, tworzą całość różnorodną lubo malowniczą.

Mamy tu kilkanaście szczepów mieszkańców wysp Filipińskich, osławionych Ajnów, Patagończyków, Morów, Chińczyków, Arabów, Egipcyan oraz wielu takich, o których po raz pierwszy może niektórzy usłyszą; któż bo zna: Igorretów, Vissayanów, Bogobów, Cagayanów lub mieszkańców zagadkowej jakby „Krainy ognia" — potomków szczepu Ouni Moquikablos.

Wyliczyć wszystkich choćby z nazw tylko — nie sposób.

Ciekawe to są okazy tak, jak ciekawym jest sposób ich życia, a ciekawe dlatego, że nie można ani w rysach ich twarzy, ani w budowie ich ciała odkryć choćby jednej z tych linii, które my uważamy za piękno.

Ludzie ci na Europejczykach i Amerykanach — ogółem na rasie białej robią wrażenie karykatur ludzkich i choć dlatego są wstrętni, to jednak jak każda karykatura zwracają na siebie uwagę.

Ograniczamy się dziś jedynie do podania dwóch illustracyj, nadesłanych nam z wystawy: pierwsza, to grupa mieszkańców Arizony — terytoryum, należącego dawniej do Meksyku, a obecnie do Stanów Zjednoczonych, druga zaś przedstawia Igorotów, mieszkających na północno-zachodnim brzegu jednej z wysp Filipińskich, zwanej Luzon.

Wypadek z samochodem.

Sport samochodowy w Anglii, jak wogóle wszystkie inne sporty, zakorzenił się w Anglii najszybciej; Anglik bowiem, pełen zimnej krwi i odwagi, przyjmuje wszystko to, co, pomimo, że przedstawia niebezpieczeństwo, jest najnowszą zdobyczą pracy ludzkiej.

Stąd też w Anglii wypadki z samochodami mnożą się z każdym dniem, a jeśli zdala jeno echa o tem do nas dochodzą — to dlatego, że wogóle mało interesujemy się zagranicą i jej codziennemi sprawami.

Głośniejszym staje się wypadek wówczas, gdy ofiarą jego padają osoby ukoronowane lub blisko stojące u dworu. Ostatni wypadek z samochodem dotknął brata króla angielskiego, księcia Counaught, który w drodze do Edynburga wypadł z maszyny i dotkliwie się poranił.

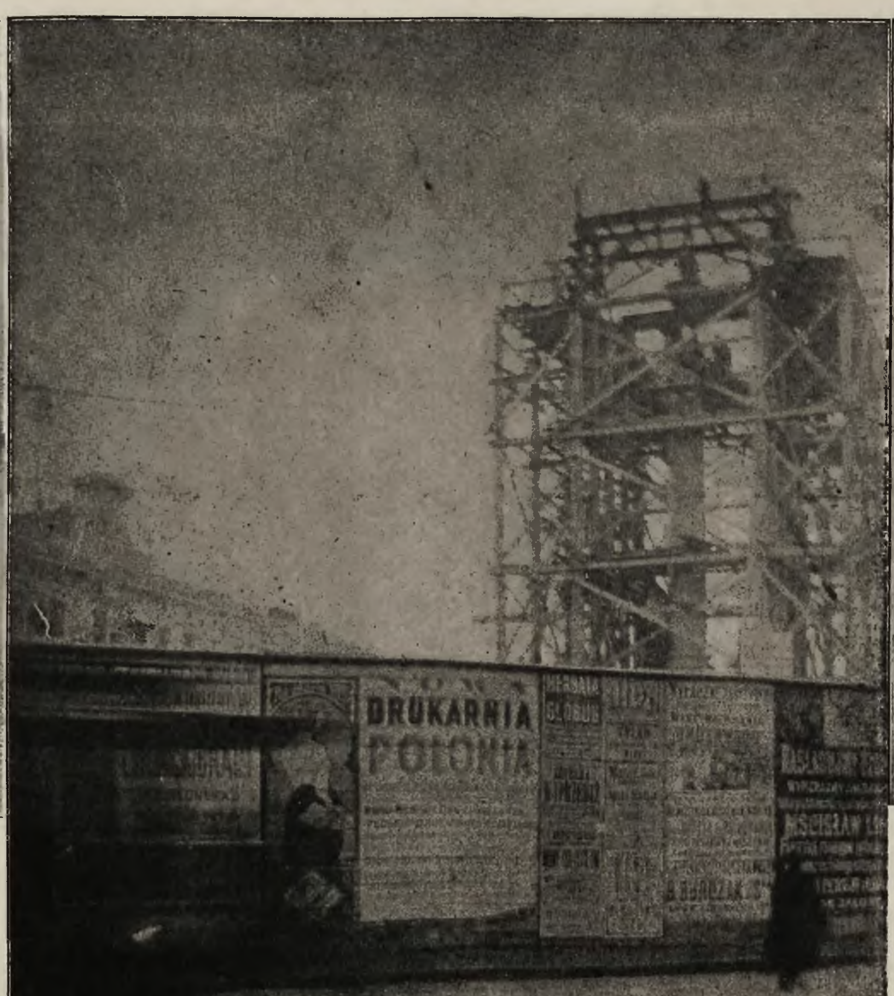
Obecnie od dni kilku ks. Counaught pozostaje na kuracji w Edynburgu.



Z wystawy w Saint Louis: Grupa Igorotów (pożeracze psów) z wysp Filipińskich.



Geniuszowi poety – miasto Lwów: Dr. Bronisław Radziszewski, prezes komitetu budowy kolumny Mickiewicza.



Geniuszowi poety – miasto Lwów: Prace przy ustawianiu kolumny Adama Mickiewicza na placu Maryackim.



Geniuszowi poety – miasto Lwów: Jan Kazimierz Zieliński, I. skarbnik komitetu dla budowy kolumny A. Mickiewicza.

Geniuszowi poety – miasto Lwów.

Gdy Kraków dawno już złożył hołd pamięci genialnego poety, polskiego Goethego, twórcy Dziadów, Adama, wznosząc mu na Rynku spiżowy pomnik dłuta Teodora Rygiera — Lwów przez długi czas wiele o takim pomniku mówił, pisał, uznawał cała jego potrzebę, ale z wykonaniem tego projektu zwlekał. Dlaczego? Bo ci, co mówili i pisali, dawali inicyatywę, ale w słowie i na papierze...

Aż wreszcie znaleźli się ludzie dobrej woli, ludzie pełni energii i zapału, którzy podjęli się wykonania tego projektu. Ukonstytuował się komitet, na którego czele stanął jeden z najwybitniejszych uczonych, lwowski profesor chemii na tamecznym uniwersytecie, obecny rektor dr. Bronisław Radziszewski, długoletni zasłużony członek rady miejskiej. Obok niego jako wiceprezes komitetu budowy tego pomnika zajął miejsce znany powieściopisarz, redaktor „Gazety lwowskiej“ radca dworu Adam Krechowiecki, a ciężkiej misyi skarbników podjęli się dwaj urzędnicy bankowi, trudniący się w wolnych chwilach od urzędowych obowiązków pracą na polu literatury i dziennikarstwa pp. Jan Kazimierz Zieliński i Kazimierz Pepłowski.

Ludzie ci, owiani prawdziwym, nie zaś takim naszym słomianym zapałem, poczęli gromadzić fundusze, zbierać drobne nawet centowe składki,



Geniuszowi poety – miasto Lwów: Kazim. Pepłowski, II. skarbnik komitetu dla budowy kolumny A. Mickiewicza

w czem zwłaszcza specyalne zasługi położył Kazimierz Pepłowski i ostatecznie widząc, że są już w możności podjęcia przedwstępnych robót, ogłosili konkurs na projekt pomnika dla naszego nieśmiertelnego wieszcza.

W konkursie wzięło udział całe grono naszych najwybitniejszych artystów rzeźbiarzy.

Zwyciężył Antoni Popiel, młody ale sławny już rzeźbiarz, i wspaniała kolumna, którą wznoszą na



Geniuszowi poety – miasto Lwów: Antoni Popiel, twórca kolumny A. Mickiewicza.

Maryackim placu, będzie głosić sławę dwóch ludzi: wieszcza, którego potężny geniusz ducha zapewnił mu sławę nieśmiertelną, i rzeźbiarza, którego ręka wymodelowała ten pomnik...

Dnia 30 października odbędzie się uroczystość odsłonięcia tego pomnika i oddania go w opiekę miasta. Na uroczystość tą, której opis wraz z podobizną kolumny podamy w najbliższej przyszłości, z całej Polski pospieszą rzesze, aby złożyć hołd zasługom wieszcza.

Wspominając dziś o tej uroczystości podajemy podobizny członków komitetu dla budowy tej kolumny, których zapał, praca i poświęcenie się pokonały wszystkie trudności, zwyciężyły wszystkie przeszkody i podjęte tak zacne dzieło doprowadziły do skutku.

Śmierć króla Jerzego saskiego.

Z zamku królów saskich w Dreznie powiewają żałobne sztandary. W nocy z 15-go na 16-ty października o godzinie drugiej minut dwadzieścia pięć wydał ostatnie tchnienie król Jerzy saski po krótkiej, ale ciężkiej chorobie.

Zmarły król Jerzy niedługo, bo zaledwie dwa lata dźwi ł ciężar tych obowiązków, jakie na barki królów wkłada korona.

Jako drugi syn króla Jana saskiego i królowej Amelii, zmarły obecnie król, nie spodziewając się, że starszy brat jego Albert zejdzie bezpotomnie ze świata i że skutkiem tego ster rządów Saksonii przejdzie w jego ręce, poświęcił się karyerze wojskowej i jako młodzieniec wstąpił do artyleryi. Ale widocznie służba w tej broni nie odpowiadała jego gustom, gdyż niebawem przeniósł się do kawaleryi i podczas wojny w roku 1866 jako jenerał-major prowadził w ogień pierwszą saską brygadę jazdy.

To był pierwszy jego chrzest wojenny, ale nie ostatni, bo podczas wojny francusko-pruskiej w r. 1870—71 objął dowództwo całego korpusu czeskiego i na jego czele brał udział w krwawych potyczkach



Geniuszowi poety – miasto Lwów: Radca dworu A. Krechowiecki, wicepr. kom. dla bud. kol. A. Mickiewicza.



Smierć króla Jerzego saskiego: Hrabina Montignoso, b. księżna Luiza, rozwiedziona z księciem Fryd. Augustem.

pod Nuart i Beaumont, a następnie w zaciętej bitwie pod Sedanem i w oblężeniu Paryża.

Okrywszy się niemałą sławą w tej strasznej wojnie, w roku 1888 został mianowany marszałkiem polnym i generalnym inspektorem armii niemieckiej. Na tem stanowisku zyskał sobie wśród szeregowców wieczną wdzięczność wydaniem rozkazu dziennego, w którym w nader energiczny sposób wystąpił przeciw znęcaniu się przełożonych nad żołnierzami.

Na tem wysokiem stanowisku pozostawał aż do r. 1902, to jest do chwili, w której śmierć jego brata, Alberta, króla saskiego, zmarłego bezpotomnie, zmusiła go do złożenia buławy marszałkowskiej dla przywdziania korony.

Na osierocony tron saski wstąpi obecnie najstarszy syn króla Jerzego i żony jego, zmarłej jeszcze w roku 1884, Maryi Anny, infantki portugalskiej, ks. Fryderyk August, urodzony w roku 1865. Nowy król przed rokiem zwrócił na siebie uwagę całej Europy głośną sprawą romansu i ucieczki swej żony Luizy, obecnej hrabiny Montignoso z nauczycielem Gironem.

Ukończenie sprawy rozwodowej między małżonkami przed śmiercią króla Jerzego wytrąciło z rąk hrabiny Montignoso berło, które byłaby dziś mogła piastować.

Swoją drogą wobec faktu, że książę Fryderyk miał zamiar pogodzić się z hrabiną, że nawet tego roku w Szmeksie oboje się zjechali i choć nie rozmawiali zupełnie z powodu telegraficznego zakazu, jaki książę otrzymał od swego zmarłego ojca, rodzi się w Europie ciekawość, czy owa zamierzona zgoda nie przyjdzie teraz do skutku, czy książę nie posadzi obok siebie na tronie matki swych dzieci.

Trzeba więc czekać, co przyszłość w tym kierunku przyniesie.



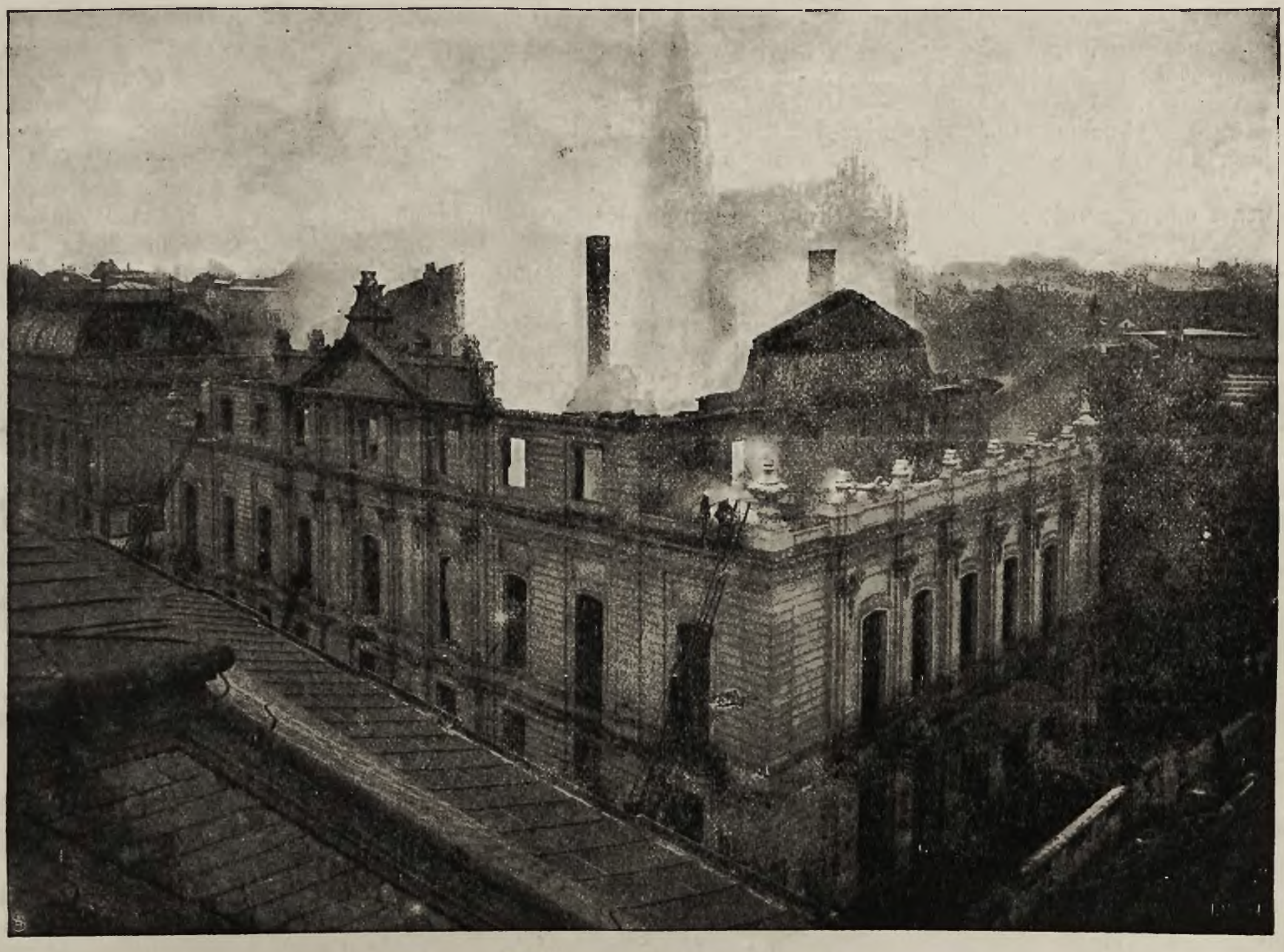
Smierć króla Jerzego saskiego: Król saski Albert, zmarły bezpotomnie 19 czerwca 1902 r.

Pożar teatru w Bazylei.

W nocy z dnia 6-go na 7-go października br. miasto Bazyleę nawiedził wielki pożar, którego pastwą stał się piękny teatr miejski, wzniesiony w roku 1875, według planów budowniczego I. J. Stehling-Burckhardta za sumę 600.000 franków.

Ogień zaprószono widocznie wieczorem podczas przedstawienia „Nietoperza“ — ogień bowiem zauważono około godziny drugiej w nocy z sąsiedniego gmachu, mieszczącego pałac sztuki i zaalarmowano służbę bezpieczeństwa.

Przybyła na miejsce pożaru straż gmach cały zastała już w płomieniach. Akcya ratunkowa była wielce utrudniona z tego głównie powodu, że prócz ratunku teatru, trzeba było ochraniać od płomieni sąsiednie gmachy: Pałac sztuki, starą szkołę rysunkową z jej archiwum i muzeum historycznem. Gmachy te udało się uratować od pastwy płomieni — teatr zaś spłonął prawie doszczętnie wraz z dekoracyami, kostyumami, instrumentami muzycznemi i przyborami garderób teatralnych; lżejsze zaledwie rzeczy zdołano wynieść z płonącego gmachu i w ten sposób uratowano.



Pożar teatru w Bazylei: Akcya ratunkowa.

Nad ranem ze wspaniałego teatru pozostały zaledwie okopcone i nadwyrężone mury bez dachu, bo ten również się zawalił w krótkim czasie po podjęciu akcyi ratunkowej.

Straty wynoszą przeszło 1,000.000 franków — nie licząc tego, że pożar pozbawił możności zarobkowania licznych pracowników sceny, którzy pozbawieni dachu nad głową, muszą się zwracać o pomoc do miasta i jego mieszkańców.

Rycina nasza przedstawia płonący gmach o świcie — w chwili dogaszania pożaru.

Ś. p. Wiktor Brodzki.

Nasz świat artystyczny stracił znowu jednego ze swych przedstawicieli ś. p. Wiktora Brodzkiego, rzeźbiarza dużego talentu, a człowieka wielkich zalet.

Zmarł w Rzymie, w tem ognisku świata artystycznego, do którego był przed pół wiekiem zawitał i w niem się osiedlił na stałe.



Śmierć króla Jerzego saskiego: Wstępujący obecnie na tron saski książę Fryderyk August.

Od najmłodszych lat swego życia ś. p. Wiktor Brodzki objawiał talent rzeźbiarski, co skłoniło rodzinę do wysłania go do Petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych. I nie zawiedziono się na przewidywaniach młody artysta już jako uczeń akademii otrzymał medal złoty oraz stypendyum, które dało mu możność wyjazdu za granicę. Osiadłszy nad Tybrem śp. Brodzki niezmordowanie przez pół prawie wieku pracował przeważnie nad posągami większych rozmiarów, które rozrzucone dziś w pokaźnej ilości po całym świecie, jak najdosadniej świadczą o wybitnym jego talencie. W ostatnich latach, przykuty do łoża boleści, ś. p. Brodzki nie porzucał dłuta; dźwigał się od czasu do czasu, otrząsał z niemocy i znowu imał się pracy; owocem jej był pomnik grobowy, jaki sobie wyrył za życia, przedstawiający płytę z jego własnym popiersiem. Zmarł cicho, bo żył cicho i pogodnie. Resztę krwawo zapracowanych na niewdzięcznej niwie artystycznej pieniędzy testamentem zapisał na stypendyum dla kształcącego się w Rzymie rzeźbiarza. Kuratorem zapisu mianowaną została Krak. Akad. Szt. Piękn.



Śmierć króla Jerzego saskiego: Zmarły 16 października 1904 r. król Jerzy saski.

Wiarołomna żona.

WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

4 (Ciąg dalszy).

— Przebaczenia ojcze! przebaczenia! – szepnął zawstydzony książę Ferdynand schylając wzrok ku ziemi.

— Przebaczenia? Ależ my ci go nie odmówimy moje dziecko, tylko wejdź raz na drogę poprawy, tylko poddaj się naszej woli i spełnij nasze życzenia!..

Książę Ferdynand w milczeniu skinął głową na znak zgody.

— Musisz sam przyznać Ferdynandzie, że dalej tak być nie może — odezwała się łagodnie księżna — wczorajszy skandal był straszliwy. Co prawda postaramy się, aby nie był głośny, aby jak najrychlej zapomniano o nim nawet na dworze, ale ty musisz rozpocząć inne życie!..

— Tak! — rzekł surowo książę Ludwik — w tych dniach musisz się zaręczyć z księżniczką Elzą. Dziś przyjeżdża jej matka i zaraz po porozumieniu się z nią oznaczymy dzień waszych zaślubin!

Młody książę, usłyszawszy te słowa, przerażony zerwał się szybko z fotelu.

— Wasza wysokości — szepnął schylając ponuro głowę — wieść ta spada na mnie całkiem niespodzianie, tem bardziej, że od chwili powstania tego projektu, niezgadzałem się na to nieszczęsne małżeństwo!..

— Moja wola jest niezłomna — odparł książę Ludwik — tylko małżeństwo może zmienić twoje postępowanie.

— Ale nie to małżeństwo — wybuchnął młody książę – błagam cię ojcze, nie czyń mnie na całe życie nieszczęśliwym!..

— Więc powiedz, co masz do zarzucenia księżniczce Elzie?...

— Nie podoba mi się!...

— Tylko tyle? No, to potem podobać ci się będzie z pewnością! Pamiętaj! Dziś przybywa księżna i ja zaraz w twojem imieniu będę prosić o rękę jej córki. Nazajutrz złożysz księżniczce Elzie wizytę, a do trzech dni muszą się odbyć wasze zaręczyny.

Krew uderzyła księciu Ferdynandowi do głowy, oczy jego zapłonęły dzikim blaskiem, na usta rwała mu się odpowiedź, która zapewne raz na zawsze byłaby położyła zaporę między nim a ojcem, gdyby nie księżna matka, która swą drobną dłoń położyła mu na ustach.

— Cicho! cicho! uspokój się Ferdynandzie — błagała go – widzisz, że ojciec chory, że lekarze zakazali mu wzruszeń! Idź już teraz!...

Młody książę jak szalony wybiegł z komnaty i w przedpokoju oko w oko spotkał się z trzema damami, na których widok ustroił lice w wymuszony gorzki uśmiech.

Pierwsza z tych dam, to była księżna Amalia, matka księżniczki Elzy, majestatyczna cudownej jeszcze piękności kobieta. Tuż przy jej boku szła jedna z nadwornych dam hrabina Königsmark.

Trzecia hrabina Edyta Landenberg musiała wzbudzić zachwyt w każdym mężczyźnie. Cała jej postać była pełna uroku. Jej zielonawe kocie oczęta rzucały dokoła takie spojrzenia, które zdolne były nawet skały poruszyć. Spojrzała na młodego księcia długo przeciągle, a spojrzenie to było cichem wyznaniem gorącej namiętnej miłości, jaka gorzała w jej sercu.

Ale książę nie zważał na to. Wymienił kilka zdawkowych grzeczności z matką swej przyszłej narzeczonej i gdy w drzwiach ukazał się szambelan, mający wprowadzić damy do komnaty książęcej, czempręd̨zej pospieszył do swoich pokoi.

Hrabina Landenberg spojrzała za odchodzącym.

— Musisz ty być moim — szepnęła cichutko — musisz być moim. Wszystkich sił dołożę, żeby cię żadna inna nie dostała, a zwłaszcza ta księżniczka, ta śmiertelna moja nieprzyjaciółka!...

Tymczasem młody książę, wpadłszy do swego gabinetu, wyczerpany rzucił się na fotel.

Tysiące myśli krążyło mu po głowie.

— Co począć? co robić? Czy będę w stanie oprzeć się woli ojca? Co powie Klara, ta ubóstwiana Klara na wieść o moich zaręczynach z księżniczką?!... Dziś jeszcze muszę się z nią widzieć, pomówić z nią, ucałować jej drobne usta!... A ten Wurm! Ten Wurm, który mnie szpieguje!... Poczekaj panie marszałku, poznasz ty jeszcze, co to znaczy stawać na drodze następcy tronu, swojemu przyszłemu władcy!...

Książę wstał i podszedłszy do biurka nacisnął guzik dzwonka elektrycznego.

W drzwiach pojawił się zgięty w głębokim ukłonie kamerdyner.

— Lucyanie! — rzekł rozkazująco książę — niech marszałek Wurm w tej chwili stanie przed mem obliczem.

Kamerdyner, złożywszy milczący ukłon, znikł za kotarą.

. . . .

O tej samej porze, kiedy w komnacie księcia Ludwika rozgrywała się powyższa scena, przed bramą książęcego zamku stanęła Hania.

Była już w więzieniu u ojca, ale tam trafiła na nielitościwe serca. Wypchnięto ją za bramy i nie dozwolono zobaczyć się z ojcem.

Hania w bramie zamkowej spotkała się z lokajem.

— Mój łaskawy panie — rzekła doń swym słodkim głosikiem — czy nie mógłby pan zaprowadzić mnie do jego wysokości księcia Ludwika.

— Do jego wysokości? Wątpię, aby panią tam dopuszczono, ale w każdym razie proszę zaczekać, zawiadomię marszałka Wurma o przybyciu pani.

I lokaj zniknął, a Hania ze łzami w oczach pełna niepewności i trwogi, pozostała u bramy zamkowej.

— Co się stanie? — myślała — czy hrabia Wurm zechce mi dopomódz?

Jakieś złe przeczucie ogarnęło biedną dziewczynę. Hrabia Wurm napełniał ją obawą i wstrętem. Ale nie miała czasu zastanawiać się długo, bo w tej chwili ukazał się lokaj.

— Proszę! niech pani pozwoli ze mną! – rzekł, kłaniając się uprzejmie.

— Hania, nie namyślając się, pospieszyła za za nim. Lokaj prowadził ją długim korytarzem, aż w końcu zatrzymał się przed bogato rzeźbionemi dębowemi drzwiami.

— Proszę! niech pani wejdzie. Tu czeka hrabia Wurm na panią!...

Z bijącem sercem nacisnęła Hania klamkę i weszła do bogato urządzonego gabinetu. W pośrodku pokoju stał hrabia Wurm ze wzrokiem utkwionym w podwoje.

— Panie marszałku! — szepnęła błagalnie Hania, składając mu głęboki ukłon — zwracam się do pana z gorącą prośbą! Dozwól, żebym zobaczyła Jego wysokość, żebym go mogła sama na klęczkach błagać za moim nieszczęśliwym ojcem.

— Hm... hm... — odpowiedział, podchodząc do dziewczęcia i obrzucając je pełnem pożądliwości spojrzeniem — to będzie trudno panienko! trudno przynajmniej teraz i wątpię, żeby książę zgodził się dopuścić cię przed swe oblicze...

— O Boże litościwy! więc mój ojciec będzie musiał dalej gnić we więzieniu? Więc ciąż będzie go dręczyć ta niepewność jutra i przyszłości, jaka go czeka?... Ach panie marszałku ulituj się nad jego i nad moją niedolą!...

— Sprawa ojca pani stoi źle, a nawet gorzej, niż pani to sama przypuszcza – odrzekł hr. Wurm nielitościwie zwiększając przerażenie Hani – zamach na życie panującego musi być karany śmiercią!...

— Litości! – krzyknęła Hania i upadła do nóg marszałka.

— No, no! – rzekł z szyderczym uśmiechem hr. Wurm — niech się pani uspokoi! Nie wiem, czy znalazłby się ktoś na świecie, ktoby nie uwzględnił próśb anioła piękności, a zwłaszcza ja! Przecież powiedziałem pani, że jedno moje słowo może ojca pani ocalić.

— Więc wyrzecz pan to słowo, panie marszałku.

W głosie Hani brzmiała taka prośba, że nawet dziki barbarzyniec dałby się jej wzruszyć.

— Ależ i owszem! i owszem! – odpowiedział hrabia – wyrzeknę je z całą przyjemnością...ale – tu pan hrabia zaczął lubieżnie gładzić Hanię pod bródkę — należy mi się przecież za to jakaś nagroda... taka drobna nagroda... drobna, a taka słodka... i to z góry... z góry wypłacona pieszczotko!...

Hania wzdrygnęła się.

— Jakaż to ma być nagroda panie hrabio? – zapytała cała drżąca, utkwiwszy w nim swe niewinne spojrzenie.

Hrabia nie rzekł ani słowa, tylko przystąpiwszy bliżej, wyciągnął ku Hani swe ramiona i z uśmiechem rozpustnego Fauna pochwycił ją w swe objęcia.

— Boże! co to jest panie marszałku?!...

— No! cicho! cicho pieszczoszko! — zasyczał hrabia, tuląc Hanię do piersi — nie bądź-że głupia! Wszak za tę drobną cenę uratuję ci ojca!...

Ale Hania, zrozumiawszy teraz, o co chodzi, poczęła bronić się jak szalona. Oboje zaczęli się zmagać, ale walka nie trwała długo. Młoda i silna Hania zdołała się wyrwać z uścisków starego rozpustnika.

— Poczekaj ty mała żmijko! — krzyknął rozwścieklony hrabia — bezemnie nigdy nie uzyskasz audyencyi u księcia! A jeśli nie ulegniesz mi teraz, to twój ojciec skończy na szubienicy.

— Nie dotykaj mnie pan proszę — odpowiedziała Hania z błyskawicą w oczach — wiem dobrze, żebyś nigdy nie dopomógł mojemu ojcu! Nie potrzebuję więc ani twych łask, ani obietnic! Sama pójdę do księcia...

— Szczęśliwej drogi! — zaśmiał się szyderczo marszałek — ale poczekaj, muszę ci przecie dać przewodnika!...

To mówiąc zadzwonił i kiedy na głos dzwonka do gabinetu wbiegł lokaj, odezwał się rozkazująco:

— Wyprowadzić ją za bramę zamkową i nie wpuszczać jej nigdy więcej, chyba... chyba, że zgłosi się wprost do mnie.

Lokaj ujął Hanię pod rękę i wyprowadził ją z gabinetu.

— Nie ujdziesz ty mi na przyszły raz koteczku! — rzekł hrabia, stając na korytarzu i patrząc za odchodzącą — nie ujdziesz mi, to już ci zaręczam, to przysiądz ci mogę!...

— Panie marszałku! Jego wysokość książę Ferdynand wzywa pana przed swe oblicze! – zabrzmiał tuż za nim głos kamerdynera Lucyana.

— Książę Ferdynand?!...

Hrabia Wurm skrzywił się, jak gdyby mu kto dał skosztować ocet siedmiu złodziei.

— Spieszę! w tej chwili spieszę!...

W parę minut potem pan marszałek słodziutko uśmiechnięty, zginający się w tysiącznych ukłonach i mizdrząc, jak stara kokotka, wchodził do gabinetu księcia Ferdynanda,

— Wasza wysokość raczył mnie przywołać – odezwał się cichym głosem pan hrabia — jestem, jak zawsze, na usługi!...

— Dlaczego pan intrygujesz przeciwko mnie — krzyknął gniewnie książę, wprost przystępując do rzeczy i nie bawiąc się w żadne dyplomacye — jak pan śmiesz coś podobnego robić?!...

— Ja?!... ależ wasza wysokość! ja jestem jednym z najwierniejszych sług waszej wysokości!...

— Nie przecz pan, bo to się na nic nie przyda! szpiegujesz mnie pan na każdym kroku! Wiem dobrze o tem!...

— Wasza wysokość myśli może, że to ja spowodowałem wczorajszy wypadek? Wasza książęca mość się myli! Ja nigdy nie odważyłbym się na coś podobnego!...

— Strzeż się panie marszałku — krzyknął książę — wiem o wszystkiem intrygancie i zdrajco! A gdy jeszcze raz wejdziesz mi w drogę, to biada ci! Pamiętaj, biada ci!...

I książę, skinąwszy ręką, wskazał całkiem niedelikatnie na drzwi pokoju.

Tego zaproszenia hrabia Wurm nie dał sobie powtarzać.

W jednej chwili znalazł się na korytarzu i odetchnął głęboko.

— Zdrajco? intrygancie? — szepnął, zaciskając pięści — o mój książę zobaczysz, że jestem za mądry, aby robić sobie coś z twojej złości! Biada! biada, ale nie mnie! Biada tobie młokosie!...

Rozłączeni.

— Ach Elzo, kochanie ty moje, mój ty jasny promyku słońca, marzenie snów moich, nie wspominaj ty mi o tych zaręczynach, nie dręcz mnie, bo ja tego nie przeżyję!...

— Och Walterze! moje serce wiecznie będzie należeć do ciebie! Na to mogę ci złożyć najświętszą przysięgę, ale rękę będę musiała oddać innemu! Zmuszą mnie do tego, rozłączą nas bez litośnie i cały gmach marzeń naszych wyśnionych wśród bezsennych nocy, rozsypie się w gruzy! O Walterze mój ukochany, gdy o tem myślę, serce pęka mi z bolu!...

Księżniczka Elza mówiąc te słowa spoglądała w błyszczące niby dwa czarne brylanty oczy młodego i przystojnego mężczyzny, który klęcząc tuż przy niej pocałunkami okrywał jej ręce.

— Pierwszego lepszego dnia miłość nasza wyjdzie na jaw — szeptała księżniczka — odkryje ją światu złość ludzka i padnę ofiarą gniewu mej własnej matki!...

Oblicze Waltera nabrało ponurego wyrazu. Jego czarne oczy ciskały błyskawice. Chmura gniewu osiadła na jego wysokiem białem, jak alabaster czole.

— Twoja matka? jej gniew? ach tak! — zaśmiał się gorzko — naturalnie, że ona nie będzie

zbyt mile spoglądać na mnie, gdy wystąpię w roli konkurenta! Wszak nie jestem księciem! wszak nie mogę wykazać się milionowym majątkiem!... Czemże jestem?! Malarzem! człowiekiem, w którego piersi tli iskra boża, iskra talentu, która za twoim podmuchem wybuchnęła by pewnie jasnym silnym płomieniem! Tak! ale ludzie tych iskier bożych nie cenią!... A jednak najdroższa ty moja, nie tracę nadziei, nie chcę pogodzić się z myślą, że mam cię stracić na wieki! Pokonam wszystkie przeszkody, życie moje oddam z ochotą, bylebym choć chwilę mógł nazwać cię swoją... swoją!...

— Twój zapał i mnie dodaje odwagi do walki, jaka nas czeka — odpowiedziała księżniczka Elza — ale pomimo to duszę dręczą mi wciąż złe przeczucia. Zdaje mi się, że grozi nam jakieś niebezpieczeństwo, a jestem przekonana, że moja matka związku naszego nigdy niepobłogosławi. Wiem, jakie plany snuje ona na przyszłość, wiem, że chce wydać mnie za księcia Ferdynanda!...

I księżniczka Elza drobnemi rączkami oplotła szyję ukochanego.

— Ach Walterze! mój drogi Walterze, kto wie, czy nie jest to ostatnia chwila naszego szczęścia, kto wie, czy jeszcze zobaczymy się kiedyś! Moja matka przybyła właśnie przed chwilą na dwór księcia Ludwika, na wieść, że książę został zraniony na polowaniu, tak bowiem nazywa się to straszne zajście, jakie miał wczoraj z nadleśniczym Sterneggiem. Dziś rozegrają się moje losy. Wiem, bo o tem wspominał mi marszałek dworu hrabia Wurm, który załatwienie całej sprawy wziął na siebie!

— Wurm?! — syknął przez zęby Walter — o! tego łotra znam ja dokładnie! To mój śmiertelny nieprzyjaciel, to prześladowca i morderca mojego biednego ojca! Ale mam nadzieję, że wybije dlań kiedyś godzina kary, że nadejdzie dzień, w którym potrafię się pomścić nad nim!...

— Znam Walterze dokładnie tę smutną historyę twojego ojca, który oskarżony o zdradę stanu skończył życie na wygnaniu zdala od rodziny i ojczystej ziemi... Smutną jest ona i ten, który do skazania twego ojca przyłożył rękę, powinien być ukarany, ale nim to nastąpi, myślmy o sobie! myślmy o naszej przyszłości!

Głębokie, pełne smutku westchnienie wyrwało się z piersi młodego malarza. Łzy zakręciły się mu w oczach i zamiast zdobyć się na jakąś odpowiedź przytknął swe rozpalone wargi do delikatnych rączek ukochanego dziewczęcia.

— Walterze! Walterze bądź silny, miej nadzieję — szepnęła księżniczka przymykając oczki — muszę być twoją i będę nią, chociażby całe piekło przeciw nam się sprzysięgło. Wierną ci będę aż do śmierci, a jeśli już nie uda się nam połączyć, to przysięgam ci, że dzień, na który wyznaczą mój ślub z księciem Ferdynandem będzie dniem mojego zgonu!

— Elzo! — zawołał przestraszony malarz, zrywając się z klęczek — Elzo! na miłość boską! Nie mów mi tego, bo oszaleję. Ty musisz i będziesz żyć, ty musisz być i będziesz moją....

Historya tych dwóch niewinnych, a tak czule kochających się serc była krótką. Księżna przed rokiem zauważywszy u córki wielki talent malarski zawezwała na swój dwór młodego artystę profesora akademii sztuk pięknych i poleciła mu uzupełnić wykształcenie młodej księżniczki w tym kierunku.

Oboje młodzi, oboje piękni, oboje szlachetni pokochali się serdecznie, wyznali sobie nawzajem miłość, która spętała ich serca i z dnia na dzień, żyli tylko pod grozą lęku, czy los ich nie rozdzieli, czy zdołają kiedyś połączyć się związkiem małżeńskim.

We wspaniałej komnacie na zamku książęcym, gdzie miały odbywać się lekcye rysunków, zlewały się ciche szepty zakochanych. Młody malarz gorącymi pocałunkami zbudził uśpione jeszcze serce młodej księżniczki, a miłość jej zelektryzowała go i dała mu wzamian za zbudzone serce tę siłę twórczą, jaką Dantemu dała Beatryce!...

— Elzo! najdroższa moja — szeptał Walter tuląc do swej piersi drżącą, zapłakaną kochankę — zaklinam cię, porzuć te myśli o śmierci. Młodzi jesteśmy oboje i przeciwności nas przecież nie zniechęcą! Musimy zwyciężyć, musimy starać się o zwycięstwo! Nie traćmy nadziei, lecz walczmy do ostatka!...

— Więc uciekajmy Elzo! uciekajmy — zawołał błagalnie młody malarz — zdala od ojczyzny, na obcej ziemi możemy znaleźć szczęście! Uciekajmy tam, gdzie nikt nas nie zna, gdzie nikt nie zwróci na nas uwagi! Tam będziemy mogli żyć spokojnie, tam połączymy się węzłem małżeńskim na wieki!

Księżniczka Elza szybko powstała z fotelu i zarzuciła swe rączki na szyję kochanka. On przycisnął ją do piersi. Zrozumiał, że przyjęła jego propozycyę, że on jest jej milszy nad rodzinę, nad blask korony, nad cały ten świat, nad ojczyznę!

Gorący pocałunek złączył usta kochanków.

A w tejże chwili na korytarzu rozległ się cichy szelest kroków, którego zakochani nie dosłyszeli nawet.



...prawie nieprzytomna usunęła się na fotel...

Dopiero gdy drzwi od komnaty się otworzyły, oboje przerażeni odskoczyli od siebie.

A z poza grubej adamaszkowej kotary kryjącej odrzwia ukazała się matka księżniczki w towarzystwie hrabiny Königsmark i hrabiego Wurma.

Głuchy okrzyk wyrwał się z piersi Elzy, gdy dostrzegła swą matkę, i blada z przerażenia zakrywając rękoma twarzyczkę, tak jakby dostrzegła jakieś straszne widmo, prawie nieprzytomna usunęła się na stojący w pokoju fotel.

Walter blady, ale spokojny, zdecydowany na wszystko stał prosto z zaciśniętemi, jakby do walki pięściami, spoglądając groźnie na hrabiego Wurma, który z poza pleców księżnej uśmiechał się złowrogo. A tymczasem stara księżna stanęła na środku komnaty.

— Czy pan wiesz, co pan zrobiłeś, czy pan wiesz na coś się odważył — wyrzekła gniewnie i zwracając się do córki dodała — a ty bezwstydna, jak mogłaś upaść tak nisko?...

— Proszę! nie przerywaj pan mi — podjęła dalej księżna, widząc, że Walter otwiera usta do odpowiedzi — szalony jesteś chyba, kiedy odważyłeś się w ten sposób zniesławić księżniczkę!...

— Wasza wysokość wybaczy — odpowiedział z naciskiem młody malarz — ale tu o znieważeniu księżniczki mowy nawet być nie może, tem bardziej zaś o zniesławieniu!... Zapewne, że muszę wytłumaczyć waszej wysokości, co zaszło tu przed chwilą, choć sądzę, że to zbyteczne, bo wasza wysokość domyśla się chyba, co jej powiem. Księżniczka Elza przyrzekła oddać mi swą rękę, a ja zwracam się do waszej wysokości z prośbą...

Śmiech, jakim wybuchła na te słowa stara księżniczka przerwał mu dalsze wynurzenia...

— Waryat! słowo daję, waryat! — zwróciła się księżna ze śmiechem do Wurma — ale chyba, moja córka nie zaraziła się jeszcze od niego! Chyba ona ma jeszcze choć trochę zdrowego rozumu.

— O! mam go moja matko — odpowiedziała księżniczka Elza, która tymczasem przyszła do siebie. Mam go! — powtórzyła podnosząc się z fotelu i błagalnie patrząc w oczy księżnej — to też mogę zapewnić cię, że Walter mówi prawdę i błagam, nie burz mojego szczęścia, szczęścia twojego jedynego dziecięcia!...

Księżna spojrzała surowo na córkę.

— Doprawdy panie profesorze — rzekła z gryzącą ironią — że miejsce dla pana byłoby chyba w domu waryatów! Pan, pan, taka marna figura, chcesz się ubiegać o rękę mojej córki?! Nie, doprawdy! nie mówcie mi już o tem, bo skonam ze śmiechu!...

— Wasza wysokość ma zupełną racyę! — zaśmiał się za plecami księżnej, hrabia Wurm — on i księżniczka! No! to jest paradne!...

W oczach Waltera zapaliły się nowe błyskawice, ale mimo gniewu, który go ogarnął, zdołał jeszcze zapanować nad sobą i rzekł z godnością do księżnej.

— Moja prośba nie upoważnia jeszcze waszej wysokości do naigrawania się ze mnie! Miłości, jaka wre w sercach naszych nie potrafi zniszczyć nawet wasza wysokość!...

— Dość tego! — krzyknęła księżna, chcąc jak najprędzej zakończyć tę przykrą dla niej scenę — idź pan i pamiętaj, że w przyszłości lepiej będę uważać na mą córkę i potrafię uchronić ją przed podobnymi napaściami ze strony pana!...

— Matko! — jęknęła boleśnie księżniczka Elza.

— Przyjdzie godzina księżno, w której pożałujesz słów dzisiejszych! — zawołał oburzony malarz — żegnaj mi Elzo, żegnaj najdroższa i nie poddawaj się zwątpieniu. Pamiętaj, że ja zawsze będę w pobliżu, że będę cię strzedz, gotów zawsze na twoje usługi!...

I przesławszy ukochanej pocałunek dłonią, szybko wyszedł z komnaty, a przechodząc koło hrabiego Wurma szepnął mu do ucha z naciskiem:

— A pamiętaj panie marszałku, że i my porachujemy się kiedyś jeszcze!...

Hrabia Wurm spojrzał na malarza z tryumfującą miną.

W tej chwili księżna spojrzała na swe otoczenie i zwracając się tak do marszałka jak i do hrabiny Königsmark, która ze zgrozą przypatrywała się tej całej scenie, rzekła oschłym tonem:

— Proszę mnie pozostawić sam na sam z moją córką!...

Marszałek i dama dworu złożywszy głęboki ukłon wyszli z pokoju, a stara księżna zamknąwszy za nimi drzwi z surową miną podeszła do zalanej łzami córki.

— O tym skandalu nie chcę już więcej wspominać, ty wyrodne dziecko! Sprawa skończona! Opowiem księciu Ludwikowi o całem tem zajściu i ten waryat dziś jeszcze pójdzie na wygnanie, ale muszę ci powiedzieć, że książę Ferdynand będzie jutro prosić cię o twą rękę i ty musisz... rozumiesz, musisz mu ją oddać. Pojutrze odbędą się wasze zaręczyny a w najbliższych dniach oznaczymy dzień waszego ślubu, który musi się odbyć najdalej za dwa miesiące! To jest mój rozkaz, moje życzenie! Ja tak chcę i tak być musi!

— Litości! matko! ukochana moja matko litości! — załkała biedna księżniczka — miej litość nademną! Nie krwaw serca twemu jedynemu dziecięciu! Walter...

C. d. n.



Z wojny ros.-jap.: Zbieranie rannych na placu boju przez japońskie oddziały sanitarne.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Nowe krwawe walki. Armia rosyjska doznała znów ze strony wojsk japońskich straszliwego pogromu. Między kopalnią Jantaj a miejscowością Pensiku cały tydzień toczyły się i dziś, w chwili, gdy to piszemy, toczą się jeszcze krwawe walki. Dzień po dniu Rosyanie doznają coraz straszniejszych klęsk, z każdą chwilą położenie armii mandżurskiej jest coraz to więcej rozpaczliwem.

Jenerał Kuropatkin nie ponosi w tym wypadku żadnej winy. Generalny sztab petersburski za wpływem namiestnika Aleksiejewa, po którego stronie stanęli wielcy książęta Włodzimierz i Aleksy, wydał jenerałowi Kuropatkinowi rozkaz podpisany przez cara, a żądający, by Kuropatkin porzucił dotychczasowy swój plan i przeszedł do ofenzywy.

Naczelny wódz armii mandżurskiej w sześciu długich telegramach, skierowanych wprost do cara, tłómaczył, że obecna chwila nie jest odpowiednią do takiej akcyi, że drogo może kosztować armię rosyjską, gdy jednak mimo to rozkazu nie cofnięto, Kuropatkin nie mając innego wyjścia, olbrzymim frontem ruszył naprzód w kierunku zajmowanych przez Japończyków stanowisk pod kopalnią Jantaj, rzucając w pierwszy ogień brygadę kozaków jenerała Miszczenki i piechotę pod dowództwem jenerała Rennenkampfa.

Wojska japońskie zrazu słaby stawiały opór, opuściły nawet zajmowane przez się pozycye i dopiero, gdy Rosyanie zaczęli już tryumfować przerzuciły się nagle do ofenzywy i wykonały cały szereg kontr-ataków z taką gwałtownością, że wyparły nieprzyjaciela z obsadzonych stanowisk i zmusiły go nie do odwrotu, lecz do najokropniejszej ucieczki.

Najsilniejszem i najkrwawszem było starcie się dywizyi jenerała Rennenkampfa z prawem skrzydłem japońskiem pod wodzą jenerała Kurokiego koło miejscowości Pensiku nad rzeką Taitse, gdzie zwłaszcza 10 i 11 bm. toczył się bój tak zacięty, jak nigdy jeszcze dotychczas w tej wojnie.

Obecnie sytuacya przedstawia się dla Rosyan nietylko niekorzystnie, ale nawet bardzo groźnie. Cała armia mandżurska cofa się ku Mukdenowi ścigana przez Japończyków, którzy następują jej na pięty, a co gorzej, w chwili, gdy Rosyanie byli zajęci bojem na froncie, z boku dwie dywizye japońskie pod wodzą jenerała Fukushimy przeprawiły się przez rzekę Chun i obchodzą tyły armii mandżurskiej, aby odciąć Kuropatkina od Mukdenu.

Gdyby ten plan został ze skutkiem przeprowadzony do końca, Rosyanie musieliby pójść w rozsypkę i armia mandżurska przestałaby istnieć zupełnie.

Że koło Mukdenu jest bardzo gorąco, tego dowodzi nagły wyjazd z tego miasta namiestnika Aleksiejewa, który spowodowawszy tę straszną klęskę przeniósł swą kwaterę do bezpiecznego jeszcze Charbinu.



Z wojny ros.-jap.: Japończycy grzebiący poległych.



Z wojny ros.-jap.: Transport żołnierzy rosyjskich, ranionych w bitwie pod Liaojanem, do Mukdenu.

Oyama czy Nodzu? Angielscy korespondenci donoszą, że marszałek Oyama powróci niebawem do Tokio i buławę swoją złoży w ręce jenerała Nodzu.

Jako przyczynę tej zmiany jedni podają okoliczność, że Japończycy zajmą już niebawem zimowe leże i przestaną posuwać się naprzód — drudzy twierdzą, że marszałek Oyama zostanie odwołany dlatego, że postępuje zbyt gorąco, jak naprzykład w bitwie pod Liaojanem, gdzie z powodu porywczości tego wodza armie japońskie były w wielkiem niebezpieczeństwie i cudem prawie zdołały osiągnąć zwycięstwo, którego marszałek Oyama nie wykorzystał należycie. Notujemy te wiadomości jako pogłoskę i to pogłoskę nieuzasadnioną, gdyż w razie ustąpienia marszałka Oyamy w pierwszej linii należałoby się spodziewać, iż stanowisko jego obejmie jenerał Kuroki, który dotychczas przysporzył armii japońskiej tyle świetnych zwycięstw!

Wyjazd floty bałtyckiej na daleki Wschód. Flota bałtycka, o której wyjeździe na daleki Wschód dzienniki pisały już od tak dawna, ostatecznie 16-go bieżącego miesiąca o godzinie pierwszej nad ranem opuściła port w Libawie i pod komendą admirała Rożdestwieńskiego — jak fama głosi — jednego z najzdolniejszych admirałów marynarki rosyjskiej wyruszyła w drogę.

Tego samego dnia widziano około godziny ósmej rano ową flotę złożoną z dwudziestu czterech okrętów na wysokości przystani Sakkedjör, leżącej na duńskiej wysepce Langeland.



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Japońska poczta polowa w drodze.

Wobec tego można wnosić, że nie jest to żaden manewr, lecz że flota rzeczywiście udaje się na wody wschodnie, aby tam w połączeniu z niedobitkami eskadry władywostockiej rozpocząć na morzu akcyę wojenną z Japonią i przeszkodzić jej w dowozie posiłków amunicyi i żywności dla wojsk lądowych.

Wieść o wyruszeniu floty bałtyckiej nasuwa szereg bardzo ciekawych pytań, a przedewszystkiem powątpiewanie, czy Anglia przepuści okręty rosyjskie przez kanał suezki.

Czy tak, czy tak, dążąca na plac boju flota nie prędzej jak za parę miesięcy może stanąć u celu; gdyby jednak Anglia zamknęła dla niej przejazd w Suezie, flota admirała Rożdestwieńskiego musiałaby okrążyć Afrykę i kto wie, czy dla braku węgla nie utknęłaby gdzieś na czas dłuższy, zwłaszcza, że intendantura węgla na punkcie dostawy węgla ogromnie szwankuje.



Z wojny ros.-jap.: Jenerał Nodzu przeznaczony na następcę feldmarszałka Oyamy.

Coby się jednak nie stało, to pewnym być można, że Japończycy przygotują się na przyjęcie nowego nieprzyjaciela tem bardziej, że już dziś wiedzą o jego ewentualnem przybyciu.

Obrazki z placu boju. Krwawa walka w Mandżuryi, pochłaniająca tysiące ofiar w życiach ludzkich, jak naprzykład ostatnie starcia pod kopalnią Jantaj, o których dziś wspominamy, a w których według doniesień angielskiego korespondenta miało zostać na placu boju pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy Rosyan w zabitych i rannych, wymagają nadludzkich prawie wysiłków ze strony oddziałów sanitarnych.



Z wojny ros.-jap.: Admirał Rożdestwieński komendant floty bałtyckiej.

To też w ślad za posuwającemi się naprzód kolumnami posuwają się gromadki żołnierzy, których ramiona zdobią białe opaski z czerwonym krzyżem. Na czele tych grupek kroczą lekarze. Co chwila grupka taka przystaje i lekarz bada chorego, kwalifikując stopień jego zranienia. Po założeniu opatrunków, z grupki odrywa się kilku ludzi: to lżej ranny, wsparty na ramieniu sanitarnego żołnierza, o własnych siłach zdąża do polowego szpitala, tam sanitarni żołnierze na noszach dźwigają ciężej rannych...

A za tymi gromadkami zdążają grabarze — ci idą ślad w ślad za sanitarnemi oddziałami i oddają poległym ostatnią przysługę...

A na stacyach kolejowych stoją pociągi Czerwonego Krzyża. Z wagonów dolatują ciche jęki rannych i przedśmiertne charczenie. Żołnierze sanitarni i lekarze uwijają się jak muchy w ukropie: tu trzeba jeszcze temu założyć bandaż, na owym dokonać jakiejś drobnej operacyi, tam przynoszą jeszcze rannych — aż wreszcie pociąg zapełniony! Komendant daje znak i ruchomy ten szpital rusza, aby dać miejsce drugiemu, na którego czeka już tysiące nowych pasażerów... I tak ciągle... ciągle.. gdy wre bój, pociągi Czerwonego Krzyża oraz oddziały sanitarne dniem i nocą pełnią swe obowiązki bez wytchnienia.



Z wojny ros.-jap.: Jenerał rosyjski Rennenkampf.

Poczta polowa wojenna. W Mandżuryi, to jest w tej części Mandżuryi, która już dostała się w ręce Japończyków, wszystkie urzędy rosyjskie przestały już istnieć. Przestała więc spełniać swe zadanie i poczta — a jednak wszelkie korespondencye czy to ze strony urzędowej, czy też prywatne listy żołnierzy i wiadomości dziennikarskie dostają się do Tokio najregularniej dzięki poczcie polowej. Grupa kulisów strzeżona przez oddział piechoty zdąża do celu swej podróży, gdzie inni wypoczęci kulisi wezmą na plecy worki i ruszą dalej...



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Ranni żołnierze japońscy w pociągu „Czerwonego krzyża“, zdążający do stacyi w Hiroshima.

Z tygodnia

Feljeton składany.

(*n. n.*) Pan Krzymuski moriturus rektor Almae Matris Cyfrowiczianae, przedsięwziął á tout prix zdobyć rekord w wyścigu o kaduaens stańczykowski. Więc jako kryminalista, rozprawiwszy się z sekretarzem (sanctae memoriae), wydedukował, iż po tym pekuniarnym ewenemencie pociechą dla uniwersytetu był wybór dra Lea na stolec król. głównego m. Krakowa. Ta ekstyrpacya uniwersyteckiego zęba mądrości odbyła się w obecności cyrulika Cybulskiego i innych mężów magni ingenii. Kopulacya Cyfrowicza z Leem udała się — honny soit qui mal y pense. Ferraryjski Gonella, L'homo piace vole, wziął po łapach i zaskomlał z bólu w grobie błazeńskim. Cieszą się tylko imitacye humorystyki, Djabły i Śmigusy, bo zyskały w Krzymuskim stałego kollaboratora.

Piszą do nas ze Lwowa:

A imiona ich: Hauerstock i Maciszkowa — a plon policyjny wielka ilość fotografij dam wesołych, wśród których nie brak podobno dam z towarzystwa!!.. Był to solidny, zaciszny interes, załatwiający potrzeby serca. I trzebaż ironii losu, że zaraz po kongresie maryańskim wykryto tę świątynię wesołego nabożeństwa. Wprawdzie „Narodówka“ zaklina się, że album fotograficzne nie kompromituje żadnej porządnej obywatelki, a cóż dopiero dam z high lifu, ale Narodówka dawno już wzięła rozwód z prawdą. I u nas przepadł w głębokościach policyjnych „album“ Czesława Kieszkowskiego, a przecież wiadomości o fotografiach go zdobiących doszły aż do Lwowa. W każdym razie, choć „Narodówce“ wierzyć nie można, rzecz cała przedstawia się w daleko skromniejszych rozmiarach, niż to rozgłosiły telegramami lwowscy szrabjingełesy.

Przygotowujemy się do odsłonięcia pomnika Mickiewiczowi. Wprawdzie Lwów dość późno zdobył się na to święto, bo po Bochniach, Rzeszowach, Tarnowach, Stanisławowach, ale lepiej później jak nigdy. Miasto dało 20.000 koron na koszta uroczystości — suma pokaźna, można za nią porządnie wystąpić. Byle wzięto się lepiej niż przy pomniku Sobieskiego, bo wtedy był alarm i nieporządek. Mówcy piszą już swoje żywe słowa. Będzie przemawiał Krechowiecki, jako prezes komitetu i zapewne przemówi ładnie, bo mówić umie i posiada nieodzowną w tym wypadku przyprawę: prawdziwy pietyzm dla wielkiego wieszcza. Nie wytrzyma, aby nie mówić, pan Małachowski: — oby tylko tych ciepłych klusek mała była porcya. Nie uchyli się od obowiązku i marszałek Badeni. Znajdzie się miejsce w przemówieniach i dla posłów (prawdopodobnie Głąbiński) i dla poetów (Kasprowicz) i dla młodzieży. Pan Hudec także się już zgłosił i komitet jest w kłopocie co zrobić z tym fantem.

Wszystkie dzienniki przygotowują numery okolicznościowe. „Słowo“ ma podobno już w tece utwory Konopnickiej i Kasprowicza. W teatrze pójdą „Dziady“.

* * *

(*n. n.*). Leon X. wirtuozom w żarłoctwie, obsiadującym stół jego, kazał od czasu do czasu podawać pieczone kruki i małpy. W Krakowie jest bezmałpie (*excluso:* małpy zielone) ale wron na plantach abundancya. Więc Rotter jako Oberjäger na fotosferze opozycyi, rozindyczony champion demokracyi, powinien ująć wiatrówkę, a położywszy trupem stada gawronie, zrobić z nich pasztet i podać go nienasyconym Leo-konserwatystom. Strawią, bo mają strusie żołądki i wściekły apetyt.

Tout fait ventre — oto ich maksyma. A braknie im już zasad i synekur. Dawaj wrony!

* * *

(*K. P.*) Ktoby chciał wiedzieć, jak nie powinno się pisać dramatów, niech idzie do naszego teatru ludowego, niech przysłucha się „Skapanemu światu“ Orkana.

Kto chce poznać, czem jest właściwie głęboka znajomość ludu, jego pojęć, zapatrywań, porywów i myśli, jego psychologii i psychozy, niech idzie do teatru ludowego, niechaj także przysłucha się „Skapanemu światu“!

Orkan zna lud, zwłaszcza podtatrzańskich górali, bo sam z nich pochodzi i rzecby można, że kreśląc charaktery przewyższa Tetmajera, który góralskie swe opowieści opiera jedynie na obserwacyi, nie wyczuwając wszystkich drgnień duszy chłopskiej.

Ale Orkan z drugiej strony nie zawładnął formą dramatu, a może do formy tej nie przywiązywał wagi i dlatego „Skapany świat“ ma jedynie wartość ludoznawczą i o ile w czytaniu porywa, o tyle na scenie nudzi i męczy widza...

Pierwsza próba Orkana w kierunku dramaturgii nie przyniosła mu laurów; zawiodła i publiczność i jego samego, ale... „Skapany świat“ to pierwsza próba! Apodyktycznie nie można sądzić z niej o talencie młodego autora.

Czekajmy więc spokojnie dalszych. Czekajmy, czy Orkan dalej będzie pracować na tem polu, czy ograniczy się do powieści, które przyniosły mu już całkiem zasłużone wawrzyny...

* * *

W. K. Joszio Markiczo, Japończyk, który długi czas przebywał w Londynie, podaje w korejskich „Dajly News“ ciekawe porównanie teatrów japońskich i londyńskich. Poglądy jego są oryginalne i bawią swą naiwnością. Między innemi pisze: Japońska orkiestra składa się z muzykantów i śpiewaków. Śpiewacy pomagają aktorom w ten sposób, że odśpiewują przed przedstawieniem myśli i uczucia grających, którzy całą grę swoją opierają głównie na mimice twarzy. Ten rodzaj współdziałania śpiewaków i aktorów nazywa się „Jorusi“. Oto mały przykład jak się to robi. Mitonkide (bohater dramatu) szuka jenerała Hisayosi, który się ukrywa w leśnej chatce — Mitonkide chce go zamordować. Jorusi (chór śpiewaków) śpiewa: „Teraz przychodzi Mitonkide“ (podczas jego śpiewu Mitonkide ukazuje się z za kulis). Mitonkide mówi: tutaj jest to miejsce! Jestem przekonany, że mój nieprzyjaciel Hisayosi ukrywa się w tej chacie“. Jorusi śpiewa: „Cicho, bo możesz poruszyć żaby w tej leśnej ciszy, a jak zaczną skrzeczyć, to byś mógł zwrócić na siebie uwagę swego wroga“. Wszystko to, co chór śpiewa Mitonkide wyraża mimiką i tąż mimiką zapewnia, że się będzie zachowywał ostrożniej. — „A teraz — pisze Markiczo — pomyślmy sobie jakby ta scena wyglądała w teatrze londyńskim. Mitonkide wybiegłszy z za kulis zacząłby wymachiwać rękami i głośno mówić co teraz myśli (monolog). A przecież tak robić się nie powinno. Żaby zbudzone jego głosem, zaczęłyby rzechotać, a Hisayosi odrazu by się domyślił, że wróg jego się zbliża. Zdaje mi się przeto, że należałoby w teatrach londyńskich jak najprędzej zaprowadzić Jorusi“.

Takie Jorusi przydałoby się w Teatrze krakowskim zwłaszcza w melodramacie „Biedacy“, w którym główne role odgrywają pp. Józef i Lucysia Kotarbińscy. Pan Magistrat wchodzi na scenę ukrywa się za kolumną a Jorusi śpiewa:

„To jest pan Magistrat, on chce odzyskać dług, jaki ma pani Gmina u pp. Kotarbińskich“. Wchodzą państwo K. i mówią do siebie: „ile to mamy uskładanych jenów i gdzie je ulokowaliśmy?“ Tu Jorusi śpiewa: „Cicho bądźcie, bo oto pan Magistrat słucha za kolumną i przez waszą nieostrożność dowie się o wszystkiem i doniesie pani Gminie“. Państwo K. mimiką zapewniają, że złapać się nie dadzą. Wchodzi p. Czapelski, a Jorusi śpiewa: „On wie, on wszystko wie, ale on się nie zdradzi“!...

* * *

Stępkowski zbankrutował. Nieprawdopodobne, a prawdziwe!

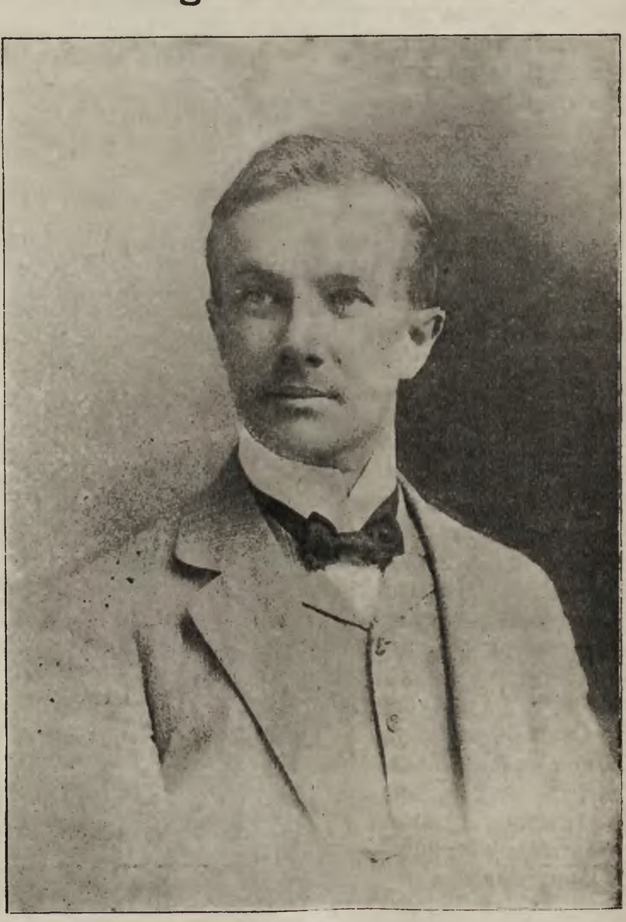
Wszak wiecie kto to Stępkowski? To najszykowniejsza knajpa Warszawy, to krakowski Hawełka. Być w Warszawie, a nie być u Stępka, to znaczyło dawniej tyle, co być w Rzymie, a nie widzieć papieża.

Stępkowskiego prawdziwego już dawno nie było — firma od lat 18 w innych pozostawała rękach. Ale kto o tem wiedział? — a zresztą i u nas niema Hawełki, a jest Hawełka.

Więc zasyłamy Warszawie kondolencyę.

O jerum, jerum, jerum, quals est mutatio rerum!

Migawki teatralne.



Jan Nowacki.

Wnioskując z faktu, żeśmy w poprzednim numerze na czele zapowiedzianych sylwetek teatralnych lwowskich postawili bohaterkę panią Bednarzewską, niby jenerała-komendanta tej armii bojowej — i widząc obecnie w bezpośredniem następstwie tejże, lekkiego amanta pana Jana Nowackiego — mógłby sprytny czytelnik wpaść łatwo na nieprawdziwą myśl, że to właśnie jakiś adjutant owego bohatera czy bohaterki stanął u jej boku...

Otóż — jakkolwiek żaden z nas — a ośmielamy się to twierdzić tak we własnem jak i ogółu czytelników naszych imieniu — jakkolwiek żaden z nas, powtarzamy, nie pogardził by stanowiskiem adjutanta przy tak sympatycznym dowódzcy, jakim jest bezsprzecznie pani Konstancya — zaznaczamy przecież z naciskiem, że porządkiem tych sylwetek kierował jedynie przypadek — względnie kaprys naszego korespondenta, przysyłającego nam podobizny artystów...

Po tym wstępie koniecznym — którym salvavimus animas nostras... a który, jako w lekkim trzymany tonie, uważaliśmy za stosowne postawić przed lekkim kochankiem sceny lwowskiej — miło nam zanotować, tym razem już zupełnie na seryo — że obok stojący przystojny młodzian, pan Jan Nowacki, to artysta o wielkim talencie i pięknych warunkach, dziś już stawiających go w rzędzie ulubieńców publiczności.

Wprowadzony na scenę przez śp. Kwiecińskiego — a wyszkolony pod umiejętną reżyseryą Pawlikowskiego, pozwala rokować o sobie jak najlepsze nadzieje. Czy je ziści? Zobaczymy w przyszłości. Tymczasem konstatujemy, że w rolach łobuzów — sit venia verbo... jakby dla niego stworzonych — jest doskonałym — i życzymy z całego serca ciągłego postępu aż do najwyższych szczebli artyzmu... *Nowościarz.*

Kącik humorystyczny.

U handlarza obrazów.

— Niech państwo kupią ten obraz!

— Ależ ja chcę obraz ręcznej roboty!

— No to przecież jest obraz ręcznej roboty!

— Co pan mi zawracasz głowę! Przecież to jest oleodruk!...

— Ny, a koło oleodruku, to się z nogami robi, czy co?

Ma czas.

— Cóż to wasz ojciec tak ciągle kaszle?

— A no, cóż ma robić? Pracować już nie może, gospodarstwo oddał dzieciom, ma czas — więc sobie kaszle.

U handlarza.

— Panie! kupiaj pan ten pistolet!

— A mnie co po pistolecie?

— Ny, a co pan chce wiecznie żyć?

Jarosław Kocian.



Czechy — to ojczyzna muzyków!... Czy to, że ptaszęta śpiewają im leśne inaczej, piękniej jak innym krajom, czy po „zwinięciu“ Olimpu bogini Polihymnia osiadła gdzieś nad Wełtawą — niewiadomo... Pewnem jest jednak to, że niemuzykalnego — to jest talentem do muzyki nie obdarzonego od natury Czecha — wprost niema na świecie.

Muzykalni są bardzo i Włosi, o ile jednakże trafia się więcej u nich talentów śpiewackich — o tyle Czesi wydają z pomiędzy siebie niezliczone mnóstwo muzyków zdolnych — najczęściej skrzypków, światowej sławy koncertantów.

Niedawno temu Ondrziczek objechał świat w tryumfalnym pochodzie— wkrótce po nim zasłynął brat jego; później sława Kubelika rozbrzmiewała po wszystkich krańcach ziemi — a dziś młodziutki, bo dwadzieścia lat liczący Jarosław Kocian, o ile można sądzić z szalonej reklamy i najpoważniejszych krytyk całej Europy i Ameryki — prześcignął w kunszcie wszystkich swoich poprzedników.

Syn nauczyciela ludowego w małej miejscowości czeskiej —już w trzecim roku życia okazał taką wybitną muzykalność, że ojciec kupił mu miniaturowe skrzypeczki, na których to cudowne dziecko już za sześć miesięcy wygrywało ze słuchu wszystkie słyszane piosenki!.. Po pięciu latach nauki na prowincyi, grywał już Kocian jako dziesięcioletni chłopak na koncertach — w trzynastym zaś roku życia wstąpił do konserwatoryum praskiego jako uczeń sławnego na cały świat profesora Szewczika — skąd mając lat 18 najwyższą nagrodą wyszedł odznaczony.

Wiedeń, Paryż, Londyn, Ameryka — i mnóstwo innych objechał światów młody wirtuoz, stąpając wszędzie po drogach, usłanych kwiatami i wieńcami... Niema już chyba bardziej wysokich superlatywów od tych, jakich używali krytycy muzyczni z Mascagnim na czele w pochwałach — mało: w zachwytach nad grą Kociana!

Wdzięczność należy się Towarzystwu muzycznemu, które sprowadzając go na koncert do Krakowa na dzień 24 b. m. daje publiczności naszej sposobność podziwiania tego najznakomitszego skrzypka; niech więc nikt nie zaniedba zaopatrzyć się jak najwcześniej w karty wstępu na biesiadę artystyczną, jaka zapewne nieprędko powtórzy się w Krakowie... *Ursus.*

TAJEMNICZA WILLA

(Z opowiadań włamywacza na tle prawdziwych zdarzeń).

Z angielskiego przełożył
KAZIMIERZ E.

4 (Ciąg dalszy.)

Weszliśmy do pokoju.

Była to duża sala silnie ogrzana. Na dużym marmurowym kominku płonęły jasnym ogniem potężne kłody jodłowe. Całe umeblowanie, z wyjątkiem lśniących metalowych okuć i ozdób ustawionych tu sprzętów, było czarne.

U powały zwieszała się na złoconych grubych łańcuchach ogromna lampa z różową umbrą, która rozświetlała wcale dobrze tę salę.

Jednym rzutem oka objąłem cały pokój i zauważyłem, że oprócz tak dziwnego pod względem zestawienia barw umeblowania, nie było tam zresztą nic takiego, coby mogło przejąć kogoś lękiem lub wstrętem.

A mimo to nagle drgnąłem.

Pod jedną ze ścian w rogu pokoju stał rodzaj kanapy, lub raczej sofy tureckiej bez wezgłowia i bez oparcia na nogi.

Na sofce tej, pokrytej białą jak śnieg materyą, leżała strojna w biały negliżyk, piękna jak anioł dziewczyna, a blada jak trup!...

W pierwszej chwili myślałem, że patrzę na zwłoki jakiejś zmarłej przedwcześnie nieszczęśliwej, nie mogłem bowiem dostrzedz, żeby oddychała.

I leżała tak cicho, bez najmniejszego ruchu, z założonemi na krzyż jak u zmarłej rękoma, z drobną, spowitą w ramę kruczych kędziorów twarzyczką, na której malował się głęboki smutek i cierpienie.

Litość, wielka litość i współczucie ogarnęło me serce. Dla tej nieszczęśliwej byłbym z rozkoszą oddał nawet swe życie.

— Siadaj pan! — rzekł tymczasem do mnie starzec, wskazując na głęboki fotel, pokryty czarnym, jedwabistym pluszem. — Teraz nadeszła pora, w której dowiesz się, jakie ci stawiam warunki, jeśli chcesz bez przeszkód opuścić mój domek!...

Mimo, że w tej chwili rozgrywały się moje losy, nie mogłem oderwać oczu od leżącego na sofie dziewczęcia.

— Słucham pana! — odrzekłem poniekąd nawet całkiem spokojnie, choć ciekawość paliła mnie tak, jak nigdy przedtem w całem mem dotychczasowem życiu.

— To młode dziewczę, które tu spoczywa na tej kanapie, jest moją jedyną i najukochańszą córką — zaczął zwolna właściciel willi — pan przypatrujesz się jej i myślisz, że ona umarła?!... Nie!... na szczęście ona żyje jeszcze, żyć musi i żyć będzie, chociaż stan, w jakim się teraz znajduje, graniczy prawie z konaniem!... Ja panie jestem lekarzem i znam się chyba na tem dokładnie, a jednak niestety!... Córki mojej wyleczyć nie mogę.

Starzec westchnął smutnie i po chwili ciągnął dalej:

Choroba mojej córki ma dwie przyczyny: fizyczną i d u c h o w ą! Na to ostatnie słowo kładę nacisk i może kiedyś objaśnię pana, jakiego rodzaju jest ta duchowa przyczyna. W każdym razie wiedz pan, że to jest choroba, którą biedne dziewczę odziedziczyło po matce. Mimo wszelkich moich wysiłków w żaden sposób nie mogłem i nie mogę usunąć tej duchowej przyczyny jej choroby! Pozostała mi więc tylko walka z przyczynami fizycznemi i tę walkę podjąłem! W tej walce bądź co bądź muszę zwyciężyć!...

Tu starzec obrzucił mnie pytającym spojrzeniem i rzekł z naciskiem:

— Wszystko to jednak nie może pana wcale obchodzić, dlatego więc powiem panu krótko i węzłowato. Córka moja cierpi na anemię; brak jej tego życiodajnego fluidu, który nazywamy krwią; mógłbym nawet twierdzić, że czysta woda płynie w jej żyłach. Ja kocham mą córkę niewypowiedzianie; kocham ją i jak najdłużej chciałbym ją utrzymać przy życiu, ale na to znam tylko jeden środek! Słyszałeś pan o transfuzyi krwi?! Otóż wiedz pan, że, aby ją utrzymać przy życiu, trzeba od czasu do czasu wprowadzić w jej żyły krew młodą, silną, tryskającą zdrowiem i siłą. Taką krew pan posiadasz i to w takiej ilości, że nie odczujesz jej braku! Tak! gdyś był pogrążony we śnie, zbadałem cię dokładnie! A teraz zrozumiesz, czego żądam! Żądam twej krwi, żądam jej tyle, ile możesz mi dać bez szkody dla własnego organizmu, żądam tego, bo od posiadania tej krwi zawisło życie mej najukochańszej córki!...

Osłupiałem ze zgrozy.

— Więc ten straszny starzec — pomyślałem sobie — chce wytoczyć ze mnie krew, aby ratować życie swej córki. Chce wyssać ją powoli, a kiedy już ostatnią kroplę jej wysączy, gdy zamknę oczy na wieki, wpakuje mnie albo do skrzyni z wapnem, albo do szklanego kotła, jak to uczynił z tamtemi biedakami, których zwłoki odkryłem w jego pracowni, a które on tak bezczelnie nazwał przed chwilą preparatami anatomicznemi?!... Tak, a gdy ja już zginę, gdy wzbogacę kolekcyę truposzów tej willi, to czuły ten ojciec zapoluje znów na jakiegoś mego „kolegę po fachu“ i znów jego życiem okupi kilkanaście dni wegetacyi tego napół martwego dziewczęcia!

Wypadki ubiegłej nocy stanęły mi przed oczyma i teraz dopiero poznałem, jakim rafinowanym łotrem był ten starzec. Ach! zapewne nie jeden z włamywaczy, który, nie przetrząsając tak dokładnie pracowni tego bandyty, nie dojrzał owych trupów i wpadł w ręce jego zanarkotyzowany, przyjął jego warunek i zginął marnie.

Szybko powziąłem postanowienie.

— Warunków pańskich nie przyjmuję! Wolę więzienie, więc oddaj mnie pan w ręce policyi.

Starzec spojrzał na mnie z oburzeniem.

— Głupiec z pana i to największego kalibru! Więc więzienie bardziej ci się uśmiecha, jak wolność?! Ha! nie wiedziałem, że życie pod kluczem ma taki urok dla ciebie!...

— Urok jak urok — odrzekłem otwarcie — uroku więzienie niema dla mnie bynajmniej, ale wolę przesiedzieć tam lat parę, niż wolność, jakiej już nie zakosztuję, przepłacić tu życiem!...

— Powtarzam, że jesteś pan skończonym głupcem! Dlaczegóż to przyjęcie mego warunku miałbyś przepłacić życiem?!...

— Kto czycha na moje życie? a któżby inny, jak nie ten, który w pracowni swej ukrywał trupy ofiar tej transfuzyi! C. d. n.



Mglisty Albion znany jest z tego, że rodzą się na jego gruncie sekty religijne, jak grzyby po deszczu. Jak długo sekty te jednak mają za zadanie takie lub owakie tłómaczenie biblii, nikomu to nie szkodzi, bo zresztą Anglicy są dość indyferentni na punkcie religijności.

Ale widocznie sekciarzom za mało samego wykładu biblii, bo powoli próbują oni wkraczać w dziedzinę życia rodzinnego; inaczej nie możnaby sobie tłómaczyć projektu, z jakim wystąpił niedawno znany pisarz angielski Jerzy Meredith (niewiadomo do jakiej należy sekty). Proponuje on mianowicie, aby rząd ustanowił prawo, na mocy którego ma być dozwolone zawieranie małżeństw na pewien czas i to w ten sposób, że po dziesięciu latach związek małżeński uznawany będzie bez wszelkich procesów rozwodowych za rozwiązany, jeżeli sobie tego życzy mąż lub żona.

Wobec tego projektu zabrał głos w „Figarze“ Marceli Prévost i takie mniej więcej wypowiedział uwagi.

Jasne jest, że p. Meredith chciałby zapobiedz zmniejszaniu się liczby małżeństw i nadmiernej ilości starych panien w Anglii. Zdaniem jego jest to niesprawiedliwością, aby jedna kobieta posiadała przez całe swoje życie męża, a dziesięć innych wcale go nie miały. Meredith zauważył zresztą, że po dziesięciu latach wiele małżeństw traci swój urok dla obojga małżonków i dlatego uważa za niewłaściwe zmuszać ich do dalszego współżycia. Rozwód jest zawsze aktem nieco brutalnym, mianowicie w Anglii, gdzie procesy rozwodowe toczą się publicznie i dlatego powieściopisarz angielski wyraził przekonanie, że byłoby właściwiej rozejść się spokojnie i po cichu.

Meredith pragnie zatem, aby małżeństwo było w przyszłości pojmowane jako rodzaj kontraktu najemnego. Ktoś widzi jakieś mieszkanie i zachwyca się jego pięknością, ale nie będzie nigdy tak nieostrożny, aby wynajmować je na całe życie, bo dopiero przez doświadczenie praktyczne strona wynajmująca przekona się naprawdę o wadach i zaletach mieszkania.

Ale dlaczegóż to Meredith proponuje kontrakt 10-letni? Dlaczego nie trzyletni? Mniema on prawdopodobnie, że człowiek na lat 10 z góry może obliczyć trwałość swoich uczuć. Sądzi też prawdopodobnie, że pierwszych chmur małżeńskich nie można traktować na seryo i że często dopiero w latach późniejszych rozwija się harmonia między małżonkami, którzy jakoś zrazu do zgody dojść nie mogli. Jeżeli jednak po dziesięciu latach jeszcze panują przeciwieństwa, wtedy przypuścić należy, że porozumienie jest już niemożliwe.

Mąż i żona powinni zatem, zdaniem p. Meréditha, odzyskać swoją wolność i mieć prawo zawierania nowych związków. Mężczyzna, żyjący 50 lat, mógłby w ten sposób ożenić się co najmniej trzy razy i dla każdej Angielki zwiększyłyby się w ten sposób widoki zamążpójścia. Naturalnie musiałyby się piękne panie po większej części zadowolić już „wysłużonym“ małżonkiem, ale nie ma może na całym świecie, pomijając romanse Dumasa syna, małżonków, którzy przed ślubem już nie służyli.

Jeżeli Meredith sądzi, że projekt jego znajdzie u kobiet poparcie, to jest w błędzie. Jako subtelny psycholog powinien był chyba zauważyć, że kobiety lękają się więcej rozwodu i opuszczenia, niż staropanieństwa. Być prawdziwą i legalną żoną, a potem nagle nią nie być, to dziś jeszcze przynajmniej jest dla nich okropnością. Tylko bardzo nieliczne pionierki emancypacyi kobiecej głoszą zasady wolnej miłości.

Kobiecie dzisiejszej wydaje się trwały związek z mężczyzną, choćby nawet wbrew woli tego mężczyzny, najlepszym losem. Przyczyna tego tkwi w różnicach fizycznych płci. Kobieta po 10-letniem małżeństwie byłaby — co najwyżej — „dobrze zakonserwowana“, mężczyzna natomiast znajdowałby się w rozkwicie męskości. Gdy niegdyś we Francyi zjawił się projekt, aby jednostronna wola męża lub żony była dostatecznym powodem do uzyskania rozwodu, g dziły się na to wprawdzie niemal wszystkie kob ety, ale pod tym warunkiem, że tą jedyną stroną, decydującą o rozwodzie, może być tylko kobieta.

Prévost kończy swoje wywody uwagą, że projekt Mereditha nie ma żadnych widoków urzeczywistnienia, bo przedewszystkiem miałby przeciw sobie wszystkie kobiety. Zresztą i p. Meredith, którego wystąpienie wywołało tyle hałasu, nie umiał w uzasadnieniu swojego pomysłu dziwacznego powiedzieć, w jaki sposób byłaby uregulowana sprawa potomstwa.

Największy bohater.

Starego króla zmęczyło już panowanie. Przyzwał tedy swoich trzech synów przed siebie i rzekł:

— Pozbyłbym się chętnie ciężaru królowania ale nie zostawię korony byle komu... Mój następca musi być prawdziwym bohaterem. Daję wam rok czasu. Idźcie w świat, szukajcie przygód, a który z was w tym terminie zdziała coś niesłychanie wielkiego, dotąd niebywałego — ten otrzyma koronę!

Synowie pożegnali się z ojcem — odeszli, a za rok stanęli znów wszyscy trzej przed jego tronem.

— Opowiadajcie! — zawołał król.

Wystąpił zatem najstarszy i tak począł:

— Przebiegłem wiele, bardzo wiele krajów, aż natrafiłem na osławiony las w puszczy samotnej, gdzie zamieszkiwał straszliwy smok z trzema głowami, cały łuską okryty i ogniem z paszczy ziejący. Wysłał on naprzeciw mnie hufce swoich podwładnych lwów, tygrysów i olbrzymich niedźwiedzi — ale ja pobiłem wszystkie i tak utorowałem sobie drogę do tego potwora. Rzucił się na mnie z wściekłością, zionął ogniem i siarką, zatruwał powietrze, straszliwemi wymachiwał ku mnie skrzydłami... ale ja nie uląkłem się wcale i utopiwszy mój miecz w obrzydłem jego cielsku, stałem się panem strzeżonego skarbu.

— Dzielnie spisałeś się synu — odpowiedział król-ojciec — ale o czynach takich już nieraz wspominała historya.

Wtedy wystąpił średni syn na środek sali, a złożywszy głęboki ukłon rodzicowi — tak opowiadał:

— W podróżach moich przyszedłem do jednego kraju, w którym naród jęczał straszliwie pod panowaniem nielitosnego tyrana olbrzyma. Wyzwałem go do walki i zabiłem, pomimo, że siłacz ów miał na sobie pancerz, a pod pancerzem na cal grubą skórę z nosorożca. Wór pereł najpiękniejszych i przecudnych blasków klejnoty złożyli mi w podzięce szczęśliwi poddani.

— Bardzo chwalebnie! rzekł na to starzec — ale to nic nowego.

Tu zbliżył się do tronu najmłodszy książę i mówił nieśmiało:

— Za granicami naszej ojczyzny poznałem cudnej urody księżniczkę i pozyskałem jej miłość. Poślubiwszy ją, sprowadziłem się do pałacu panującej starej księżny matki. Kochana teściowa zaczęła mi dokuczać i na rozmaite sposoby zatruwać życie; wtedy ja, nie namyślając się długo, wyrzuciłem babę za drzwi i kazałem ją na całe życie osadzić w warownym, o sto mil odległym zamku. Siedzi tam stara jędza do tej pory i wyklina mnie razem z całym światem...

Starzec, który słuchał opowiadania z wyciągniętą szyją i zapartym oddechem — porwał się z tronu, chwycił syna w objęcia i zawołał:

— Chłopcze mój najmilszy! Tobie oddaję koronę i umrę spokojny o los mego państwa, bo ty jesteś prawdziwym bohaterem! Dokonałeś dzieła, jakiego dotąd na świecie nie dokazał nikt!...

Pablo.

Kącik humorystyczny.

U golarza.

Rzeźnik, przyszedłszy do golarza, każe się ogolić.

— Czy każe pan posmarować sobie wąsy brylantyną?

— Dziękuję za brylantynę — odpowiada rzeźnik — ale ja tu mam szmalec w kieszeni.

Otwarty.

Konkurent: Czy mogę prosić szanownego pana o rękę pańskiej córki?

Ojciec: Żałuję mocno! Już wczoraj zapłaciłem długi za innego.

W knajpie.

Ojciec (pijany do małego synka): Gdyby by... ci się...ę te...ego matka py...pyta...ała, ilee...e tego wy...wy...wypiłem, to...o powiedz, że ty...tyl...lko pie...pięć bomb!...

Synek: Dobrze, proszę taty! (po chwili) A gdyby mi się mama pytała, z czego tato pijany, to co powiedzieć?

Na balu.

On: Tak mnie pani wiercisz swojemi oczkami.. czuję, że niedługo zamienię się w szwajcarski ser!...

Wykręcił się.

Buchalter (do swego szefa): Dziś jest akurat 25 lat, jak służę u pana...

Szef: No i co pan powie na taką moją cierpliwoszcz?...

To trudne.

Lekarz: Muszę panu poradzić — pana nic nie wiąże z miastem — wynieś się pan z żoną na zimę do Zakopanego! Pan koniecznie potrzebujesz spokoju...

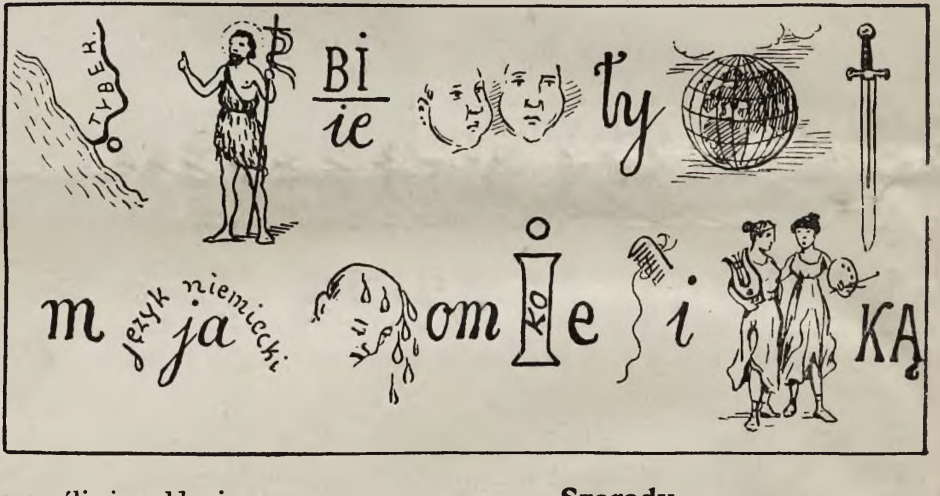
Pacyent: Z żoną konsyliarz powiada? Tom może przesłyszał? Zdawało mi się, że konsyliarz mówił, iż potrzebuję spokoju.

W kasarni.

Kapral (do rezerwisty, który bezpośrednio po swojem weselu narukował na ćwiczenia): Cóż ty gamoniu jeden, myślisz może, że tu przy wojsku będziesz miodowe tygodnie przepędzać? Co to, to nie!

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

1.

Pierwsza trzecia raz wysoka
Czasem znowu niska bywa;
Druga trzecia gdy jest gruba.
Nie tak łatwo się rozrywa.
Całość — choć jej w kalendarzu brak,
Ale kobieta zowie się tak.

2.

Kto *druga trzecia* — *czwarta* niższy,
Nic nie wart: mało na niego daj...
Pierwsza zaś znajdziesz (wspak) w muzyce.
Całość — daleki od nas kraj.

Łamigłówka zgłoskowa.

A, ad, ar, di, gi, ja, mi, mo, mo, na, net, ni, niak, rał, roz, to, top, wit, zie.

Z powyższych zgłosek ułożyć sześć wyrazów, których początkowe litery stanowić będą nazwy dwu ryb rzecznych.

Znaczenia wyrazów są:

1. Herb polski.
2. Przetwór chemiczny.
3. Imię słowiańskie.
4. Znajduje się u końca menu.
5. Dygnitarz wojskowy.
6. Następstwo odwilży.

Za odgadnięcie rebusa, szarad i łamigłówki przeznacza redakcya nagrodę dla trzech osób *(wylosowanych!)*: ***„W gościnie u Turków“*** *A. Lejkina.*

Rozwiązania z Nr. 3.

Rebus: Pierogi ze serem i z kartoflami doskonała to potrawa dla dzieci.

Szarady: 1) Niepołomice, 2) Jekaterynosław, 3) Kanowa,

Rozwiązania nadesłali Pp.: Ramoszyńska, Nemetz, Bassara, Chodkiewicz, Salwach, Rodakowska, Ramułtowa, Paczoski, Kolbusz, Guzek, Hołyński, Mika, Boratyński i Gaweł.

Nagrody (przez losowanie) otrzymali Pp.: *Boratyński z Konar, Kolbusz ze Żmigrodu* i *Paczoski z Makowa* — którzy to panowie raczą przysłać po 50 hal. na wysyłkę tych nagród.

Imię

„SINGER“

jest dla maszyn do szycia

skutkiem światowej sławy, jaką sobie nasza fabryka zjednała przez 50-letnią sumienną działalność — najlepszą gwarancyą wyborowego materyału i wzorowej konstrukcyi. To właśnie jest powodem, dla którego wiele innych fabryk i firm, trudniących się sprzedażą maszyn do szycia, usiłują sprzedawać maszyny do szycia pod wprowadzonemi przez nas oznakami, naprzykład: **„Central-Bobbin“** a nawet pod nazwiskiem **„Singer“.**

Nie należy zatem pozwolić się tego w błąd wprowadzać, przy kupnie zaś maszyny do szycia zapytać się wprost, czy takowa pochodzi od naszej firmy i nie zadawalniać się wymijającemi odpowiedziami.

Singer Comp.

Towarzystwo akcyjne Maszyn do szycia

Kraków: ul. Szpitalna 40 naprzeciw teatru miejskiego, Kazimierz, ulica Wolnica.

Filie w Zachodniej Galicyi: **Nowy Sącz: ulica Jagiellońka. Rzeszów: Trzeciego Maja 5. Tarnów: ulica Krakowska 4/5. Chrzanów: Rynek.**

Mam zaszczyt zawiadomić P. T. Publiczność, iż otwarty został

pierwszy najtańszy

MAGAZYN MEBLI

w Krakowie, przy ul. Floryańskiej l. 36

pod firmą

K. DUDZIAK

gdzie równocześnie przeniosłem swój renomowany **Zakład tapicersko-dekoracyjny** z ul. Floryańskiej l. 37.

Posiadając na składzie **wielki wybór mebli** przeważnie krajowych, jestem w możności dostarczyć jak najlepszych mebli **po najniższych cenach.**

Na składzie utrzymuję stale: kompletne urządzenia pokoi jadalnych, sypialnych i salonów, jakoteż pojedyncze sztuki; ponadto meble blaszane, mosiężne i lustra od najskromniejszych do najbogatszych. Również sofy wszelkiego rodzaju, okrycia meblowe, materace, poduszki, kołdry, portiery, firanki itp.

Dziękując za dotychczasowe łaskawe względy P. T. Publiczności, polecam się nadal łaskawej pamięci

3—5 Z wysokiem poważaniem **K. Dudziak.**

Poleca rozmaite wyborne gatunki

KAWY

codziennie świeżej

równo i pięknie palonej najnowszym i najlepszym sposobem **za pomocą gorącego powietrza** odznaczającej się najprzedniejszym czystym smakiem, pełnym i silnym zapachem, największą wydatnością, a zarazem posiadającą własność utrzymywania przez czas długi smaku i zapachu, w niezmienionej pierwotnej świeżości **po cenach bardzo przystępnych.**

Na prowincyę wysyła od czterech kilgr. począwszy **codzień świeżo** paloną kawę 2—14 **opłatnie.**

Pierwsza Krakowska elektro-mechaniczna

PALARNIA KAWY



M. JAWORNICKI

KRAKÓW

Rynek gł. 44.

Najtańsze pismo humorystyczne

„BOCIAN“

wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca

Adres Redakcyi i Administracyi:

Kraków, ulica Zielona 7

Telefon Nr. 510.

Rękawiczki wyborowe poleca polska fabryka pod firmą **A. Mirkiewicz, ulica Mostowa 4** oraz **pierwszą pralnię, ul. Szewska 2.**

2—6

Osoba młoda poszukuje posady

KASYERKI

Za wyrobienie posady ofiaruje **50 koron.**

Wiadomość w adm. „Nowości“.

BIELIZNĘ MĘSKĄ

ze słynną marką Lwa

W WIELKIM WYBORZE POLECA MAGAZYN

A. Skórczewskiego i Polakiewicza

w Krakowie, ul. Floryańska l. 13.

Koszule białe gładkie złr. 1·25, 1·60, 2·— i 2·30
Koszule białe w plisy „ 2·— i 2·50
Koszule białe miękkie „ 1·60, 2·—, 2·50 i 2·80
Koszule kolorowe „ 1·75, 2·—, 2·30, 2·50, 2·75 i 3·50
Koszule dla turystów „ 1·25, 2·—, 2·50 i 3·50
Koszule nocne „ 1·85, 2·— i 2·20
Koszulki dla cyklistów (Sweaters) złr. 1·—, 1·50 do 5·50
Kalesony złr. 1·25, 1·50 i 2·—.

Wielki wybór kołnierzy, mankietów, skarpetek, pończoch, ręczników, chustek do nosa batystowych i płóciennych i t. p.

Zapasy wielkie. — Ceny niskie, stałe.

M. JAKUBOWSKI

W KRAKOWIE

poleca Magazyny własne bogato zaopatrzone w Krakowie, Sukiennice l. 26 i 27, we Lwowie, Plac Maryacki l. 16, w Czerniowcach, Rynek, Hotel pod Czarnym Orłem 2—5

i sprzedaje po cenach najniższych wyroby

z nowego srebra, srebrzone, czyli z t. zw. chińskiego srebra

z bronzu i ze srebra prawdziwego, 13 próby złota dla użytku kościelnego i domowego.

NACZYNIA I ZASTAWY STOŁOWE.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Aleksander Ripper. Z drukarni Władysława Teodorczuka i Ski w Krakowie, ul. Zielona 7.